Cena 5 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 14 października 1945 r. | Nr 46

JERZY BOREJSZA

Ostrożnie z bombą atomową

I

Świat jest snadź znacznie bardziej sprusaczony aniżeli nawet po tylu latach heilowania hitlerowskiej tłuszczy przypuszczać należało. Narowy katastroficznych, führerowsko-mistycznych, blitzkriegowych kategorii myślenia tak głęboko osiadły w duszach ludzkich, że obecnie jest rzeczą nader trudną przekonać przeciętnego, długoletniego odbiorcę goebbelsowskiej propagandy, iż żadne cudowne bronie, wymyślne awanturnicze plany, czy też wyhołubione w najczulszych marzeniach katastrofy nie zdołają dokonanych przemian odwrócić.

Dziwnym zbiegiem skojarzeń wspomnieniowych wróciło oblicze na wpół obłąkanego chłopca-hitlerowca. Luty 1942. Gdzieś w głębokich śniegach frontu kalinińskiego zwiad radziecki z tyłów wroga sprowadził „języka": 18-letniego żołnierza, Hansa Riemanna. Duże, obłędne oczy w odblasku migocącego światełka w ziemiance, sople ocierane rękawem spływają z zamarzniętego, zaczerwienionego nosa. Uparty, fanatyczny hitlerowiec nie chciał wyjawić tajemnicy swego dywizjonu „Brandenburg". Długa rozmowa w nocy z zasypiającym smarkaczem, bełkocącym o potędze Führera i przewadze Herrenvolku nad światem. A gdy przypomniano mu klęskę pod Moskwą i przewagę liczebną Związku Radzieckiego, oczy półsennego hitlerowca rozszerzyły się i w odpowiedzi padło jedno słowo: „Wunderwaffe". Cudowna broń, która odwróci nieuniknioną katastrofę Hitlera — oto co powtarzali z fanatyczną wiarą Niemcy po Moskwie i po Stalingradzie. Aż na progu katastrofy, gdy do szaleńczej wiary w Hitlera zaczęły przedzierać się pierwsze przebłyski otrzeźwienia, nazwali z sarkazmem cudowną bronią Hitlera mnożące się krzyże nad grobami swoich żołnierzy na bezkresnych polach Rosji.

Co wróciło pamięci owe obłąkane oczy Hansa Riemanna?

Gdzieś w Japonii w ostatnim akcie wojny zrzucono jedną czy dwie bomby atomowe. Japonia jest odległa, nawet jak na czasy tysiąckilometrowych przelotów, bardzo daleka. Podobno tę bombę czy bomby sfabrykowało 60.000 ludzi, podobno zniszczyła ona całe miasto, podobno skutki bomby po dzień dzisiejszy trwają. Być może. Rozbicie atomu jest niewątpliwym osiągnięciem myśli ludzkiej i najprawdopodobniej równoczesną zdobyczą uczonych wielu krajów. Rozbicie atomu ma ponoć przynieść przemiany czy też przewrót w produkcji. Być może. Jest również możliwe, że wynalazek bomby atomowej zmieni obraz przyszłej wojny — aczkolwiek w ostatnim akcie ubiegłej wojny Niemcy zastosowali pod Ypres gazy i w okresie między obu wojnami setki znawców spraw wojskowych napisało wiele artykułów o tym, jaką rolę odegrają gazy w przyszłej wojnie. A jak wiadomo, ostatnia wojna była straszna, lecz obyła się bez gazów.

Ale nie o samą bombę atomową chodzi. Wokół tej nowej broni rozpoczęły pewne propagandowe koła goebbelsowskie wycie o Blitzkriegu. Tak więc „Figaro" paryski, reprezentujący określone sfery i tradycje, pisze: „Po konferencji poczdamskiej Anglosasi udowodnili światu, że mają stanowczą wyższość w zakresie techniki wojskowej dzięki bombie atomowej oraz innym środkom wojennym, trzymanym jeszcze dotąd w sekrecie". Stąd rzekoma hegemonia Anglosasów w świecie. Bardziej prosto i jasno wypowiada się znany zwycięzca ozonowy, Ignacy Matuszewski, który w swojej amerykańskiej gazecie pisze, że dzięki bombie atomowej utrzymywanie przez Stany Zjednoczone przyjaznych stosunków z innymi państwami, a szczególnie ze Związkiem Radzieckim, stało się zbędne. Słowem, obłąkane z bólu po ostatnich klęskach koła znalazły deskę ratunku: „Wunderwaffe".

Piszący te słowa ma niewątpliwą przewagę nad świetnym znawcą spraw wojskowych, pułkownikiem Ignacym Matuszewskim: nie zna się na tajemnicy bomby atomowej. Nie ma również tak dokładnych informacji jak „Figaro", czy przypadkiem Związek Radziecki nie posiada również swojej bomby atomowej. Kiedyś, w styczniu 1943 r., po bitwie o Wielkie Łuki, niemiecki komendant tego miasta, pułkownik von Sass tłumaczył, że głównym błędem Hitlera było niedocenianie wielkiego wzrostu techniki Rosji w ciągu ostatnich 25 lat. „Ogólno-abstrakcyjna propaganda sowiecka — tłumaczył von Sass — mówi o wszystkim prócz o tym, co jest bardzo ciekawe dla przeciwnika".

Fakty, to — powiadają Rosjanie — uparta rzecz. Żadna stolica świata nie potrafiła obronić się falowym nalotom awiacji niemieckiej, a Moskwa, dzięki sowieckiemu systemowi obrony przeciwlotniczej, ta Moskwa, od której Niemcy w październiku 1941 roku znajdowali się o kilkanaście kilometrów — wyszła z wojny nietknięta. W pierwszym roku wojny sowiecko-hitlerowskiej niewątpliwa była przewaga techniki niemieckiej, ale wnet w obronie, miotaczom min przeciwnika Sowiety przeciwstawiły katiusze, artyleria rosyjska okazała swoją wyższość, czołgi i broń przeciwpancerna powoli dorównywały niemieckim, aż niewątpliwie wzięły górę, a „Iłły" i „Miki" niczym nie ustępowały „Messerschmittom" i „Junkersom". A zresztą technika! Na kalinińskim froncie 13 % zestrzelonych samolotów wroga spadło od zwykłej kuli karabinu żołnierza. Z początku pikowanie samolotów hitlerowskich powodowało zamieszanie i ukrywanie się — potem... Nawet gdy się zjawiła najstraszniejsza „rama" niemiecka, czerwonoarmiści stawali pod drzewem i z karabinów celowali w samolot. Najcięższe bombowce niemieckie na próżno usiłowały zniszczyć wioskę, a „kukuruźniki" U_2, przezwane pogardliwie „maszynami krawieckimi", świetnie zwijały się przynosząc przeciwnikowi niepowetowane szkody.

Ileż to czołgów, samolotów, najlepszej artylerii rzucił Hitler przeciwko Stalingradowi! Któż oparł się tej technice? Piechur sowiecki zaszyty za murem, za węgłem, często z granatem tylko i karabinem. Ilekroć w tej wojnie czołgi odrywały się od piechoty, grzęzły marnie wcześniej czy później. Ta wojna nie zdołała zdetronizować piechoty, która pozostała nadal królową broni, nie zdołała zmienić tej prawdy, że wszelka, najbardziej wymyślna technika może decydować o kosztach i ofiarach wojny, ale nie o jej ostatecznym wyniku. O wyniku wojny decyduje system państwa, jego zespolenie się z narodem, praca narodu, postawa wielkiej, szarej piechoty na froncie i w zapleczu.

Te rozważania w niczym nie sygnalizują, rzecz jasna, jakichś walnych możliwości nowej wojny w najbliższym okresie. Wstąpiliśmy w okres długotrwałego pokoju, który wypływa i z układu sił na arenie międzynarodowej i z woli ludów. Chodzi nam jedynie o pewne zjawisko socjopsychiczne: dążenie tych warstw i czynników, które niewątpliwie wojnę przegrały, do narzucenia społeczeństwom prusacko-hitlerowskiego mitu nowej cudownej broni.

Skąd czerpie swe źródło owo uporczywe czepianie się hitlerowców blitzkriegów i cudownych broni? Źródłem tej wiary w nadprzyrodzone drogi zwycięstwa imperializmu niemieckiego jest — po wojnie 1871 r. — brak realnych podstaw dla hegemonii niemczyzny nad światem. Imperializm niemiecki, spóźniony w walce o podział świata, zmuszony do szukania dróg, rozszerzenia swych wpływów, tworzył plany nierealne, mające znamiona awanturnictwa. Stąd od planów Schlieffena aż do niewczesnych pomysłów Adolfa Hitlera okrążania Moskwy od Kujbyszewa — mamy do czynienia z próbami przeskoczenia realnych możliwości, przy użyciu nadprzyrodzonych dróg, mistycyzmu, techniki wyzwolonej od człowieka, od mas żołnierskich, jak to znalazło swój wyraz w teoriach Dorre'go czy Guderiana.

Toteż złą przysługę wyświadczają cywilizacji anglosaskiej i imperium brytyjskiemu ci, co głoszą, że jego siła opierać się może jedynie na jakiejś nowej „Wunderwaffe". Droga pruska prowadzi tylko do cjankali Goebbelsa i stryczka, który mimo odkładania procesu w Norymberdze, zapewne Goeringa nie minie.

II

Wyda to się rzeczą dziwną — niemniej przeto obóz, który od września 1939 roku wszystko w Polsce stracił, przyjął prusko-katastroficzny sposób myślenia i uwierzył w skuteczność swoistej, polskiej bomby atomowej. W płodzeniu „bomb atomowych", nadprzyrodzonych środków, które mają nagle odmienić rozwój wypadków w świecie i w Polsce, celuje ukochany przez wszystkich, najpiękniejszy gród polski — Kraków.

W notatniku zapisałem aż: 1. trzy daty wybuchu wojny anglo-sowieckiej, 2. jedną datę desantu wojsk Andersa w Szczecinie, 3. pięć dat wybuchu powstania „ludzi z lasu", nie licząc innych terminów, które podawano z pewnych kół krakowskich, które to daty miały nagle i znienacka odmienić bieg wypadków.

Plotka, oszczerstwo, mistyczne brednie i banialuki, najbardziej irracjonalistyczne koncepcje cechowały zacne środowisko emigracji, oderwane od kraju. Wszelkie gwałtowne rewolucje wyrzucały poza granice kraju emigrację, niezadowoloną, wydziedziczoną wskutek rozwoju wypadków. Łagodna rewolucja w Polsce stworzyła **emigrację wewnętrzną**. Ta oto wewnętrzna emigracja, nieprzeciążona bynajmniej pracą, wysiadująca w tak licznych cukierniach, barach i paszteciarniach stwarza szumne wrażenie jakoby w Polsce istniał ideologiczny obóz wstecznictwa.

A w rzeczy samej tak często cytowana w prasie reakcja polska żadnego realnego programu ani ideologii nie ma; chyba realnym programem nie można nazwać propozycji oddania Polski w arendę dla odbudowy kilku trustom zagranicznym, reprywatyzacji całego przemysłu i odszkodowania dla poszkodowanych ziemian. Pewne grupy młodo-katolików, nader dalekie od marksizmu, doszły do programu reform socjalnych i politycznych, krocząc drogą idealistycznego myślenia. Te grupy wyłączyły się z emigracji wewnętrznej. Zresztą, jeśli kto ma ochotę toczyć poważny spór ideologiczny, to — jak mawiał Stanisław Dubois — „gdyby tak ścisnąć obóz wstecznictwa, nie ma nawet z kim na wódkę pójść". Nic więc dziwnego, że wszelkie dyskusje z ludźmi z tamtego brzegu sprowadzają się do spraw personalnych i prostowania mniej lub bardziej bzdurnych pomysłów.

Cóż pozostało ludziom, którzy brną z jednej plotki w drugą, z jednej iluzji w drugą, i w końcu z jednego przestępstwa w drugie? Pozostało nerwowe, histeryczne oczekiwanie cudu „Wunderwaffe", polskiej „bomby atomowej".

Taką „bombą atomową" made in Poland w myśl życzeń tych katastrofistów miał być przyjazd do Polski tak spokojnego i kulturalnego polityka jak Stanisław Mikołajczyk. Jeśli koła N.S.Z., awanturnicy spod znaku szabli, noża i rewolweru marzyli właśnie o tej bombie atomowej, to chyba nie tylko dlatego, że bomba niszczy przeciwnika, ale również i dlatego, że sama podczas wybuchu rozpada się i ginie. Skoro wszyscy ci, którzy marzą i śnią o Polsce w roli Indii czy b. kolonii włoskich, o reprywatyzacji przemysłu, anulowaniu reformy rolnej, erze wielkiej spekulacji i wielkich fortun, szukają mistycznego wodza, skandują jego nazwisko na modłę hitlerowską i aż do spuchnięcia dłoni biją brawa, to — są to brawa publiczności, zniecierpliwionej, że krwawe przedstawienie jeszcze się nie rozpoczęło i byk skazany na śmierć od szpady torreadora, jeszcze na arenę nie wybiegł.

Zapewne pod adresem tych poszukiwaczy charyzmatycznego wodza Wincenty Witos mówił o tych, co szukają proroków i rzekomych geniuszów i apelował: „Nie szukajmy cudów i cudotwórców!"

Okazało się więc, ku rozczarowaniu wielu, że Stanisław Mikołajczyk nie jest ani „polską bombą atomową", ani cudotwórcą. Cudotwórców nie ma i nie będzie. Nie pomniejszając w czymkolwiek autorytetu naszego wicepremiera, wejście jego do rządu w niczym nie mogło zmienić ani polityki gospodarczej Polski, ani wytycznych jej polityki zagranicznej. Obóz, który kieruje państwem od przeszło roku, popełnia niewątpliwie szereg mniej lub bardziej drobnych błędów taktycznych — linia strategiczna jego w sprawie polityki polskiej otrzymała pełną aprobatę w Teheranie i Jałcie, Moskwie i Poczdamie. Grupy, które sprzeciwiały się tej polityce, przegrały podwójnie: wskutek logiki dziejów i wskutek idiotyzmów strategicznych, kontynuowanych z dziwną tępotą.

Można łatwo zdobyć poklask najciemniejszych warstw wsi, demagogicznie wysuwając hasło skasowania wszelkich świadczeń rzeczowych, można tu i ówdzie demagogicznie zagrać na najmniej uświadomionych elementach robotniczych, głosząc najbardziej wyśrubowane żądania podwyżki płac; można oprzeć się na lumpach wszystkich sfer wsi i miasta opozycyjną frazeologią — ale ludzie czyniący to podobni są do siedzącego na suchej gałęzi drzewa, który odpiłowuje ją tryumfalnie. Spadną wraz z gałęzią.

W świecie „realnej rzeczywistości" wydźwignąć kraj po tylu latach rabunkowej gospodarki można nie cudem, lecz wysiłkiem i pracą robotników i świadczeniami rzeczowymi wsi. Wielka piechota, która zapewni krajowi zwycięstwo pokoju, musi mieć przekonanie, że żadni magnaci kartelowi i trustowi, Stinnesy i Coeury nie stworzą nowych fortun ze zbiorowego wysiłku, że zwiększy on bogactwo narodowe, którego gospodarzem będzie państwo ludowe. Na otarcie łez snobów mitu zachodniego należy zaznaczyć, że upaństwowienie ciężkiego przemysłu w ustroju kapitalistycznym jest drogą, którą aprobował naród angielski, oddając lwią większość głosów Labour Party, którą aprobował naród francuski w wyborach samorządowych, że wyrok nieodwołalny historii na trusty i kartele został już wydany. Nie należy więc sądzić, że rozgrywki personalne mogą ten bieg wypadków zmienić, chyba, że ktoś wyobraża sobie Polskę jako wielki Pekin z dzielnicami międzynarodowymi a Polaków w roli kulisów. Te czy inne osoby mogą, co prawda, przeszkadzać i utrudniać kształtowanie pewnych procesów, ale nie mogą odmieniać nieuniknionych przemian. Można było z bliska obserwować, ile wysiłku łożył, wbrew intencjom gen. Sikorskiego, jego przedstawiciel w Kujbyszewie, celem utrudnienia polsko-radzieckich stosunków. Wysiłki te spowodowały wiele zamętu, nie mogły jednak przeszkodzić w ostatecznym unormowaniu stosunków między ZSRR i Polską.

Wracając jednak do problemu „polskiej bomby atomowej" trzeba stwierdzić, że pewne „koncepcje" z klimatu psychozy powojennej wracają z uporem natrętnych idei. Uległ im widocznie i tak bardzo zasłużony w badaniu zamierzchłych dziejów postępu polskiego, prof. Stanisław Kot, który, skoro zajął się współczesną historią kraju, popełnił dość naiwną gaffę. Według rozumowań publicystycznych prof. Kota, bombą atomową w Poczdamie, która zadecydowała o polskich granicach zachodnich, była osoba jednego z naszych polityków, który umiał wyczarować Odrę i Nysę. Gdyby tak było, jak prof. Kot przypuszcza, że o granicach państwa w układzie międzynarodowym może decydować jedna osoba — należałoby na konferencje pokojowe wysyłać divy filmowe i państwa delegowałyby Charlie Chaplina, Marlenę Dietrich, czy Gretę Garbo, zamiast zajmować cenny czas tak obciążonym pracą ministrom i premierom. O granicy zachodniej

ROMAN BRATNY

W sprawie powrotu wojsk naszych z Zachodu

Domy opadły ze ścian
i lekkie teraz rozbiegły się po świecie.
We Włoszech je teraz ustawia pamięcią
dwieście tysięcy chłopów na schwał.

Jesień takie śmieszne fundamenty wznosi świtu
pod obraz pustki:
domy opadły ze ścian, ściany z tynku,
liść opada, wiruje, kołysze — ile milionów tęskniąc uśnie?

Jesień — a ten liść był widmem Europy,
był cieniem miast powiększonym
— ile tysięcy polskich popiersi postawi zwycięskie stopy
kiedy piechota zadudni po bruku upadłej Romy?

Liść cieniem miast, których nie ma,
a rozsypane tu gruzy
są cieniem tamtych, których polska bieda
trzyma skałami Alp i nie chce wypuścić.

Warszawa, wrzesień.

zadecydowała, rzecz jasna, wytrwała i konsekwentna polityka obozu, który na swoich barkach dźwiga ciężar odbudowy państwa i w rezultacie pełne i stanowcze poparcie naszego stanowiska przez dyplomację radziecką, działającą w zrozumieniu zasady, że istnienie wielkiej i silnej Polski leży nie tylko w interesie Polski. Prof. Kot powinien dobrze pamiętać kampanię przeciwko Ksaweremu Pruszyńskiemu z powodu jego artykułu „Wobec Rosji" i kampanię przeciwko obozowi, który pierwszy wysunął koncepcję tej Polski, jaka powstała.

Rzecz jasna, celem niniejszych rozważań nie są zagadnienia polityczne sensu stricto, ale raczej zagadnienia socjopsychiczne. Chodzi o pozostałość okupacji w psychice społeczeństwa w postaci kompleksów katastroficznych, wiary w jakieś cudowne przemiany i „polskie bomby atomowe".

Do rzędu tych zjawisk należy niewątpliwie problem wyborów, spędzający niektórym ludziom o słabych nerwach sen z powiek. Są tacy, co prawda nieliczni, którzy sądzą, że wybory mogą rzekomo odwrócić wszystko do góry nogami i dlatego nie warto tymczasem zajmować się normalną pracą. Są tacy, którzy wierzą, iż naród będzie głosował za polityką nowej wojny, anulowania reformy rolnej, reprywatyzacji węzłowych gałęzi przemysłu, ba! nawet powrotu do władzy i kraju Raczkiewicza i Sosnkowskiego. Wolne i demokratyczne wybory mogą odwrócić całkowicie bieg wypadków w krajach, gdzie rządzą faszyści: w Grecji i Hiszpanii. W Polsce wolne wybory mogą wpłynąć i wpłyną na pewne zmiany personalne, ale w niczym nie mogą zmienić linii generalnej demokracji polskiej. Bo trzeciej drogi między tą jedyną linią a katastrofą, do której prowadziłaby awanturnicza polityka, nie ma. Jeśli się komukolwiek wydaje, że potrafi znaleźć trzecie wyjście, nie narażając się nikomu, niewątpliwie chwilowo może uzyskać poklask i skandowanie swego nazwiska, ale w perspektywie, jeśli jest człowiekiem uczciwym, zdąża do osobistej tragedii hamletyzującej primadonny na jeden sezon.

III

Pruskiego pochodzenia psychoza wiary w „Wunderwaffe", która nie przypadkowo znalazła podatny grunt w umysłach wszystkich, co przegrali wojnę i pokój, niewątpliwie powoli minie. Histeria powojenna i porewolucyjna jest dla pewnych środowisk socjalnych zjawiskiem naturalnym.

Na dalszą metę w terapii nastrojów społeczeństwa niebezpieczne są iluzje pacyfistyczne: że prawdziwa groźba nowej wojny da się usunąć przez powrót do ślamazarnej i bezbronnej demokracji sprzed 1939 roku, bez oparcia o nowy system gospodarczej i socjalnej demokracji; że różne ligi pokoju czy przyjaźni mogą istotnie przyczynić się do usunięcia groźby katastrofy bez przemian społecznych i gospodarczych, a zarazem politycznych, które usuną istotne przyczyny wojny.

W przyszłej wojnie, bez względu na postęp techniki, decydować będzie piechota, jak decydowała dotąd, mimo że nowe wynalazki wojenne niewątpliwie pomnożą jej straty. Żołnierz wojny 1939—1945 r. był bardziej uświadomiony niż jakikolwiek inny żołnierz w poprzednich wojnach. Zdemobilizowany wróci do domu w przekonaniu, że musi coś zmienić tak, aby się to więcej nie powtórzyło. Bo jak już pisał Rudyard Kipling: „Tommy to i Tommy owo, ale Tommy wcale nie jest głupcem i Tommy widzi wszystko". Stąd wyniki wyborów w Anglii, gdzie piechota społeczeństwa angielskiego obaliła mit „cudownej broni", jaką miała być osoba Winstona Churchilla dla obozu konserwatystów.

Należy na wstępie nowej ery pokoju unikać błędu ślepej wiary w organizacje o szumnych nazwach pacyfistycznych bez pokrycia w realnym układzie sił zarówno na arenie międzynarodowej, jak i wewnątrz nowokształtujących się państw. Zło należy wytępić u korzeni, a tego nie da się dokonać ani słodkawą frazeologią, ani kroplami walerianowymi z pacyfistycznej apteki.

Mit cudownych broni jest równie szkodliwy jak mit muzealnych koncepcji pokojowych, nie opartych o głębokie przemiany. A przemian bez narażania się pewnym grupom dokonać nie można.

Nie wierzę w bombę atomową. Nie wierzę w pacyfizm. Wierzę w jedyną drogę do pokoju: nieuchronne, trwałe przesuwanie się świata ku socjalizmowi.

Jerzy Borejsza

W poprzednim (45) numerze „Odrodzenia" z dnia 7 października: **Jerzy Andrzejewski:** Propozycje teraźniejszości. — **Juliusz Kydryński:** Westerplatte—Oksywie—Hel. — **Stefan Flukowski:** Mały, jeniecki teatr... — **Witold Wirpsza:** * * *. — **Henryk Batowski:** Rola Polski w ogólnosłowiańskim zbliżeniu kulturalnym. — **Ksawery Pruszyński:** Dzieje emigracji londyńskiej. Bieg na przełaj. — **Zbigniew Bieńkowski:** Los książki francuskiej. — **Kazimierz Wyka:** Wola wymiernego kształtu. — **Paweł Ettinger:** Sztuka polska w angielskich czasopismach artystycznych. — **js:** Kronika kulturalna ZSRR. — **Jan Kott:** Po prostu. Prawo i humanizm. — **ab:** Z niedawnej przeszłości. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia muzycznego Krakowa. — Korespondencja (**Jan Kott**). — Kronika ilustrowana. — Przegląd teatralny: **Kazimierz Koźniewski:** „Obcym wstęp wzbroniony". — **Mieczysław Dereżyński:** Prapremiera w Toruniu. — **zb:** Nowy numer „Kuźnicy". — Literaci na zjeździe (4 rysunki **Edwarda Głowackiego**). — 9 ilustracji. — 8 stron.

STEFAN OTWINOWSKI

W rocznicę Pruszkowa

Właśnie mija rok od czasu, gdy sięgało się po pomoc ludzką, której spłacić nie sposób. Wspomnienia są tylko — znowu wspólne. Ale wzruszenie, które z nich wynika, może być sprawą ważną dla dalszej solidarności. Solidarność. Pod jej siłą kurczy się zawsze los, który bez ludzkiej przyjaźni i dowcipu jest smutny i okrutny.

*

Kiedy wypadłem z domu rozłupanego jak orzech, stali z granatami gotowymi do rzutu.

— Sam jesteś — powiedział jeden z nich z ogniem w oczach: gorączka, alkohol, cały dzień boju.

— Z kobietami, i nas jest dwóch.

— Bandyci?

— Jak ich nazywacie. Polacy.

— Potrzebne wam to wszystko było?

Nie zdejmuje ze mnie spojrzenia. Ale w oczach mięknie. Widać w nich jak gdyby zadowolenie. Wydaję mu się bezpieczny. Jeszcze przed sekundą szanse były równe — w boju śmierć jest między walczącymi. Kiedy są już przy sobie, jest więc i to, że nie ma miejsca na strzał, na rzut. Pokonało się przestrzeń, która dysponuje nie tylko odwagą, ale i strachem.

— Bierz żonę i czekajcie na zbiórkę. Wszyscy razem. Szybko, będziemy palić dom.

Idziemy ulicą, linią dalszego boju. Pociski gwiżdżą nad głowami, nogi potykają się na bruku, zasłanym żelazem. Zaczyna się rewizja. Niemiecki oficer lotnictwa podciąga mi rękawy marynarki.

— Nie ma zegarka?

Jest — odpowiadam sobie — schowany dobrze, nie dla ciebie, idioto. Jerzemu z teczki wzięli ostatnie pudełko sardynek.

Na łące przed Fortem jest już połowa Sadyby. Płacz, nawoływania, prowizoryczne opatrunki. Niemcy rozmieszczają wokół stanowiska karabinów maszynowych.

— Panie, zrobią nas tu, czy będą gnać? O, patrz pan...

Rzeczywiście, już z wielkiego stada wybrali kilkunastu mężczyzn. Naznaczeni złym losem idą — z podniesionymi rękoma. Idą jeszcze inaczej niż my przed chwilą. Niosą w sobie ostrożnie — śmierć?

*

Reszta doczekała wieczoru. Mamy teraz pewność, że droga, która nas czeka, nie jest drogą do śmierci nagłej. Po dwóch dniach nieustannego ataku ta noc jest dla wszystkich nowa złudnym poczuciem odwrócenia losu. Nikt nie chce uciekać, a urwać się nie byłoby bardzo trudno. Stado ciągnie się znowu swą wewnętrzną siłą. Zawierzyli propagandzie wroga, trochę i na przekór własnemu dotychczasowemu wysiłkowi. Wiarą w nowe kłamstwo chcą zmazać grzech przeszłej, innej łatwowierności. Zdaje im się, że idą naprawdę w stronę odpoczynku i zapomnienia.

Idę za innymi trochę w myśl racji, że gdyby wszyscy chcieli uciekać, nikt by nie uciekł. Ponieważ sam miałem pogląd, że trzeba to zrobić, wiejąc czułbym się trochę jak dezerter. Poza tym od dłuższego czasu obserwuję dobrodusznego żołnierza, który nie wiadomo dlaczego pastwi się nad staruszką idącą przede mną. Posuwa się starowina, chwiejąc się na nogach, z węzełkiem z przodu i z tyłu, z klatką kanarków w ręku. Aha, rozumiem, psuje mu szyk, opóźnia się. Podchodzę do dobrodusznego ze sprytną, zdawało mi się, mową.

— Daj pan spokój staruszce, nie pozna się na żartach. Rozsypie się i będzie dla wszystkich kłopot. Pomyli cały pochód.

Spojrzał na mnie z ukosa, nie odezwał się.

— Pan może Czech?

Patrzy dalej z boku, złowrogo. Przeholowałem? Weźmie mnie na bok w pole dla innego porządku? Nie, podciąga karabin raczej pokojowo. Trafił cwaniak na cwaniaka. Odpowiada wreszcie jakby po polsku.

— Te...

Zbliża się do nas starszy konwojent, odbiera mi rozmówcę. Następny idzie dopiero o jakieś trzydzieści kroków. Z obu stron pola, noc jak wolność szeroka. Próbuję jeszcze raz namawiać Jerzego. Może kapral Franuś przeciągnąłby go teraz na stronę tego planu. Pomyślałem, stało się. Jest Franuś:

— Nie, panie, tędy nie da się zrobić. Wszystko wokół obstawione, nie przejdziemy na Piaseczno.

— Więc co będzie? Pójdziemy jak bydło na rzeź?

— Koło Dworca Zachodniego można iść na Leśną Podkowę.

Konwojent jest znowu przy nas.

— Te...

Franuś zdążył wmieszać się w baby. Noc jak droga do życia. Tyle powietrza — dla kogo? Nie, nie jest dobrze. Żołnierz porzucił staruszkę, teraz każe mnie równać. W złą sprawę się wdałem, już mnie zna. Nie będzie teraz łatwo uciec.

Dali nam szkołę. Dwunastogodzinny marsz po dwu tygodniach pracy i przeżyć nieludzkich. Koło Dworca Zachodniego więcej żandarmów niż myśli w głowie. Właściwie jest już tylko jedna myśl. Jak iść, żeby nie paść ze zmęczenia. Dobroduszny konwojent nie opuścił mnie ani na chwilę. Nie ma Franusia. Już teraz i słońce dopieka. Rzucić walizkę i ostatnie łachy, i niech to wszyscy diabli... Każą nam iść po jakichś schodach. Nigdy nie byłem w tych dzielnicach. Uszeregowany porządnie pochód rwie się i utyka coraz bardziej. Padnę na drugim stopniu tych schodów.

— Równaj.

Starszy konwojent z twarzą aktora, grywającego dobrych sierżantów, wyrównuje kolumnę przy pomocy ładnie wyglądającego automatu. Kule świszczą nad uchem. Ktoś padł — nie wiadomo: trafiony czy osłabły. Sierżant gra dalej swoją rolę, jakby naprawdę do filmu. To ten sam, który jeszcze przed godziną zaproponował naszej ósemce wodę.

Nowy straszny widok. W uliczkach koło Dworca Zachodniego są jeszcze domy niepopalone. Z jednego z nich czterech żandarmów wyprowadza sześć kobiet. Krzyczą coś do nas. Gdyby gdzieś w okolicy miały rodzinę, może by i spróbowały ucieczki. Nowy pogląd na świat. Jakto, jeszcze teraz cała Polska nie jest jedną rodziną?

Nie, to był chyba okrzyk małej wiary.

*

Jedziemy koleją. Mijamy Włochy. Przez otwarte okna siostry Czerwonego Krzyża rzucają nam cebulę i kawałki chleba.

— Jedziemy do Pruszkowa.

Cebula, chleb. Jedziemy naprzeciw szkorbutu i głodu. Ludzie przed oknami konwojowanego pociągu płaczą na nasz widok. Ursus. I znowu cebula, chleb, płacz.

— Jedziecie do Pruszkowa. Ratuj się kto może.

W Pruszkowie tłum jest większy. Lament na nasz widok powszechniejszy. Jakaś stara kobieta pokazała kogoś z nas palcem i zemdlała z wrażenia. Ktoś w naszym tłumie mdleje ze zmęczenia. Gęsty kordon żandarmów czuwa, żeby nie pokrzyżowały się te dwie rozpacze. Rzeczywiście, dopiero porównując z normalnymi mieszczanami Pruszkową widzę, że wyglądamy jak upiory. Można zasłabnąć na nasz widok.

Droga od pociągu do obozu jest krótka. Zato korowód straceńców wewnątrz obozu nie kończy się. Jesteśmy już zamknięci, dlatego spoistość posterunków zmniejsza się. Stoję półprzytomny, bo koszmar przechodzi moje wyobrażenie. A wyobraźnia moja była i tak największa.

Uciekł tylko jeden Franuś. Czekamy jak bydło — na rzeź? Nie. Ktoś patrzy na mnie i poznaje we mnie człowieka. Nie tylko, poznaje mnie.

— Rzucaj prędko manatki, skryj się za ten wagon. Zaraz ci kogoś przyślę.

— Nas tu jest najbliższych troje.

— Nic się nie bój, po kolei. Dbamy o wszystkich...

W ten sposób siostry Czerwonego Krzyża robią swój pierwszy przegląd.

Za wagonem, obserwowany tylko przez dwóch polskich kolejarzy, zdejmuję palto i rzucam wreszcie walizkę. Już przez to samo jest mi lepiej. Przyjdzie ktoś po mnie, czy nie przyjdzie? Może zbyt pochopnie oddałem swój los w ręce siostry Bogny. Jest chwila, że chcę wrócić do szeregu. Nagle jakaś obca ręka podaje mi opaskę z napisem „Küche".

— Włóż to bracie i śmiało za mną. Tak, jakbyś, bracie, nic więcej w życiu nie robił, tylko chodził po tych terenach.

Ruszamy.

— Trzeba przejść dwie wachy. Idziemy do kuchni. Śmiało, sposobem.

Jedzie wóz. Chłopcy z opaskami jak my wiozą cztery bańki z zupą w stronę baraków. Mój towarzysz krzyczy do nich:

— Hej, gdzieście podziali piątą bańkę?

Krzyczę i ja to samo mijając pierwszą wachę.

— Hej, gdzie bańka, gdzie bańka?...

Jesteśmy już na terenie specjalnego baraku, z dala od przypływu chaosu i nędzy. Ludzie zajęci tu są pracą, która ma rytm niezwykły. Zapach jedzenia porządkuje myśli. Tu się nie tylko rozpacza, ale w jakiś sposób żyje, walczy. Trzeba przejść jeszcze drugi posterunek. Jedzie właśnie znowu drugi wóz pełen chleba; teraz krzyczę już pierwszy:

— Chłopaki, gdzie nosze?

— Co?!

— Kosze by się przydały.

Nie wiem, czy się zorientowali. Śmieją się.

— Teee...

Jesteśmy już wewnątrz stołówki dla personelu sanitarnego. Czyjaś życzliwa ręka podaje mi miotłę. Biorę się do roboty w myśl wskazań, jak gdybym całe życie tylko zamiatał. Ale to jeszcze nie jest cel — dopiero etap. Za chwilę jest już następny przewodnik. Wszystko odbywa się w tempie amerykańskiego sensacyjnego filmu. Podoficer inspekcyjny spojrzał mi w oczy. Jeszcze chwila, a byłbym stracony. Ale oto ktoś z głębi podwórza krzyczy w naszą stronę. Inspekcyjny obejrzał się. Łapię drugie ucho kosza napełnionego barakami. Wchodzę w ten sposób w jądro oazy. Mój ostatni przewodnik jest już przy mnie. Wskazuje mi kabinę podobną do klatki dla zwierząt w ogrodzie zoologicznym. Będzie doskonałym miejscem nie tylko skrycia się ale i odpoczynku.

— Niech się pan zagrzebie w tej budzie. Jak się pan zbudzi, będzie dla pana obiadek. Ile pan dni nie jadł?

— Dwa.

— O, to nawet nie potrzeba diety.

— Co?

— Bez bujdy, można dostać obiad i według przepisu lekarza. Stop. Kryj się pan. Idzie inspekcja.

Wszystkie kąty budy są ciemne, mają trochę słomy i jakieś stare łachy. Kładę to wszystko na siebie i udaję trupa. Słychać niemieckie krzyki i perswazyjny, spokojny głos mojego nowego towarzysza. Mówi biegle śmiesznym językiem warszawsko-obozowo-niemieckim. Mój nowy i nagle zrodzony strach topnieje z sekundy na sekundę. Warszawiak ma na nich sposób — odchodzą.

— Panie... już po strachu. Dajemy sobie z nimi radę. Szukają nie tyle ludzi, ile żeby się po kątach swoich rzeczy nie robiło. A my i tak wczoraj zrobiliśmy jałówkę. Króliki i kury idą codziennie. Ceny nawet nie wygórowane. Kurczak dwieście złotych, kiełbasa świńska pięćset, a wyprowadzenie z obozu dwa tysiące... Przepraszam, pan przez kogo tutaj?

— Przez siostrę Bognę.

— A, to inna sprawa. Wyjdzie pan w ciągu tygodnia gratis. Znaczy się, że pan człowiek ważny dla Warszawy i narodu.

— Literat.

— Pan pozwoli, Zygmunt Ostojski, malarz pokojowy, kawaler Krzyża Virtuti Militari ze Starówki, także i tutaj dla potrzeb specjalnych. Niech pan uważa na mnie.

— Będę.

— Wtrynimy pana do sekcji najlżejszej, porządkowej. Praca nieelegancka, ale lekka. W kuchni nie wytrzymałby pan i dwóch dni. Transport rozłożyłby pana po jednym. W warzywniczym jest takie tempo, że i lekkoatleci wariują, do pracy muszą wstawać już o czwartej. I usłyszy pan jak ich budzą. Szef warzywników w cywilu był organistą. Jest nas niespełna trzystu ludzi na trzydzieści tysięcy gęb. Licz pan, każdy z nas musi obrobić stu amatorów życia, a poza tym i o sobie i o narodzie pamiętać. Dla nas to jest znowu specjalna robota. Skoro pan od siostry Bogny, pójdzie pan oczywiście pod prąd.

— Można i przez Wisłę?

— Czasami koło Jeziorny udaje się. Zresztą niedługo front się przewali. Byle być blisko Wisły i nie dać się wziąć prądowi na zachód.

*

Od godziny czwartej do piątej szef warzywników budził swoich ludzi. Nie opisze tego głosu żadna metafora dźwiękowa. O piątej wstawali kucharze. O szóstej było prywatne śniadanie dla wybranych. Kurczaki, króliki, kompot. O szóstej wyjeżdżał pierwszy „transport na baraki". Wtedy dopiero zaczynała się praca porządkowych. Ostojski był wszędzie. Pokazał mi kilka miejsc ustronnych. Tu trzeba się dekować, jeśli człowiekowi życie i świat zbrzydnie. Brud, nawet w naszym najporządniejszym baraku, był straszny. Specjalne rezerwaty nieporządku ratowały mnie przed zakusami Niemców, którzy woleliby mnie widzieć w transporcie na zachód. Interwencja Ostojskiego dwa razy uratowała mi co najmniej zdrowie.

Rezerwaty brudu były jedynymi oazami wytchnienia, ale o mały włos stałyby się powodem przegrania okazji. Siostra Zula, delegowana do wyprowadzenia partii z kuchni, w której miałem być i ja, posłużyła się głosem szefa warzywników, żeby odnaleźć mnie w tłumie. Wobec tego głosu, który normalnie wzywał do szaleńczego tempa pracy, ludzie kryli się po kątach jak szczury. Odnalazł mnie wreszcie Ostojski.

— Panie, żegnamy się. A pamiętaj pan o mnie, jak pan znowu zacznie pisać. Bo to widzi pan tak, odznaka wojskowa odznaką wojskową, a przyjemnie będzie, gdy człowieka cywilnie w druku uwiecznią.

*

Właśnie mija rok od czasu, gdy sięgało się po pomoc ludzką, której spłacić nie sposób. Wspomnienia są tylko — znowu wspólne. Ale wzruszenie, które z nich wynika, może być sprawą ważną dla dalszej przyjaźni. Przyjaźń. Pod jej siłą kurczy się zawsze los, który bez ludzkiej solidarności, ryzyka i dowcipu jest smutny i może być okrutny.

Stefan Otwinowski

EWA MALECZYŃSKA

O polskich tradycjach naukowych Wrocławia

„Idziemy na odzyskane ziemie zachodnie, jako pionierzy"... Ależ nie, wcale nie. To jest inaczej, i znacznie prościej: wracamy do domu. Do domu, który nam dawno zabrano i zniszczono, którego nie pamiętamy, który musimy się dopiero nauczyć kochać i posiadać, ciężką pracą doprowadzając go równocześnie do stanu używalności. Ale który niemniej — jest nasz.

Tak jak ze wszystkim, jest i z polskimi naukowymi tradycjami Wrocławia. Nie są to żadne drobiazgi czy okruchy, ale obszerny i zasadniczy rozdział z dziejów kultury polskiej. Tylko rozdział, którego się dopiero musimy „nauczyć", wryć go sobie w codzienną, zawsze gotową pamięć. Gorzej: rozdział, który po prawdzie trzeba dopiero napisać, w wielu miejscach odgrzebując fakty spod grubej warstwy pyłu zapomnienia. A tymczasem bodaj przypomnieć sobie to, co jest znane, tylko nie rozważane nigdy jako całość. I tych rzeczy znanych jest zresztą tyle, że w krótkim artykule zaledwie dotknąć można niektórych grup faktów.

Wiadomo więc, że w XII w. Śląsk, jeszcze organicznie zrośnięty z Polską, pełen jest kontaktów z życiem umysłowym krajów romańskich, przodujących już wówczas kulturze europejskiej, a że, na odwrót, stosunkowo słabo działa tu wpływ kulturalny niemiecki. Jest też Śląsk wówczas czołem cywilizacji polskiej, a Wrocław — czołem Śląska. Mniej już uświadamiamy sobie, że w w. XIII, a nawet XIV, do czasów założenia uniwersytetu krakowskiego Wrocław, mimo zmienionych warunków politycznych, jest dalej czołowym środowiskiem życia umysłowego polskiego. Oczywiście, że jak wszędzie w średniowieczu, tak i tutaj nauka jest wyłącznie w ręku duchowieństwa. Otóż już w pierwszej ćwierci XIII stulecia polski kler wrocławski stanowi największe w całym kraju skupienie ludzi posiadających stopień naukowy doktora lub magistra — do zdobycia wówczas tylko na uniwersytetach Francji lub Włoch. Szkoła katedralna wrocławska poczęta, a przynajmniej przekształcona pod tchnieniem wpływów romańskich, wyrasta w ciągu XIII w. na głośny szeroko ośrodek, ściągający scholarów nie tylko z Polski, ale i z krajów sąsiednich. W XIV w. źródła, na skutek charakterystycznej pomyłki, nazywają ją niekiedy uniwersytetem. Najważniejsze zaś, że szkoła ta, ciągle głęboko w wiek XIV jest rdzennie polska; więcej, jest gniazdem polskości wojującej o swe prawa. Weźmy dla przykładu znaną postać Jakuba ze Skaryszowa, o którym zazwyczaj nie pamięta się, że jest to dziekan wrocławski i kierownik szkoły katedralnej z lat 1253—67, tu najwięcej przebywający, tu zmarły i pochowany. Mały, szczupły, czarniawy człeczyna, jak go opisują współcześni, doktor obojga praw uniwersytetu bonońskiego, głośny ze swej wiedzy w Rzymie i w Niemczech, działając równocześnie w kapitule krakowskiej wywalcza olbrzymi, w skali stosunków ówczesnych sukces międzynarodowy Polski — kanonizację biskupa krakowskiego Stanisława Szczepanowskiego, która w swych skutkach dała jeden z impulsów do obudzenia się poczucia narodowego w rozdartym na dzielnice państwie Piastów. Równocześnie zaś na Śląsku rozsławia się Jakub nieugiętą walką gospodarczą z osadnikami niemieckimi. Wpływ głośnego bonończyka na środowisko wrocławskie jest ogromny. Zaraz w następnym dwudziestoleciu możemy się doliczyć we Wrocławiu nie mniej niż siedmiu magistrów i doktorów uniwersytetu bonońskiego, którzy pośpieszyli byli do Włoch prawdopodobnie na zachętę i pod wpływem Jakuba. Mniej głośni w swoim działaniu, wszyscy jednak bliscy mu są poglądami i duchem.

Nie byłby pełny obraz życia umysłowego Wrocławia XIII w., gdybyśmy nie podnieśli, że rozwija się ono i poza szkołą katedralną. Wrocławianinem jest przecie Benedykt Polak, dominikanin, wędrujący w r. 1245 wraz z wysłańcem papieskim, Janem Carpino aż na dwór chana Mongolii i spisujący z tej drogi relację, którą jeszcze w sto lat później czytywano i przepisywano w Paryżu. We Wrocławiu również, jak sam wyznaje, robił swe spostrzeżenia optyczne największy śląski i polski uczony tego czasu — Vitelio, po długich życia kolejach umierający jako scholastyk sąsiedniej Lignicy.

Z Vitelionem poczyna się, nieczęsta w średniowieczu, naukowo-przyrodnicza tradycja Wrocławia, która w następnych stuleciach szczyci się dwoma nazwiskami głośnych lekarzy-Polaków. Pierwszy z nich, to Tomasz, biskup sufragan wrocławski i tytularny biskup Sarepty (zm. 1378), wychowaniec sławnego swą wiedzą medyczną uniwersytetu w Montpellier, umysł na owe czasy niezwykle realny i trzeźwy. Drugi — o stulecie późniejszy, to Jan Stanko, ok. r. 1470 uczeń uniwersytetu krakowskiego, później kanonik wrocławski, przyrodnik i lekarz (wyleczył m. in. Długosza z ciężkiej choroby pęcherza), autor obszernego katalogu flory krajowej, do którego dołączył pierwszy na większą skalę słowniczek nazw polskich — dziś jeden z ważniejszych zabytków języka polskiego.

W życiu umysłowym środowiska wrocławskiego polskość trzymała się więc uparcie. Ale równocześnie z dawna, już od końca XII w. płynęła fala niemczyzny zalewając przede wszystkim życie gospodarcze Śląska, wydając z siebie z czasem niemiecki patrycjat miejski, niemcząc co niektóre rody rycerskie, a polskiej nauce i kulturze pozostawiając tylko zaplecze warstw gospodarczo słabych. W drugiej połowie XIII w. rozpoczyna się już na dobre ofensywa niemiecka na polskie życie umysłowe Wrocławia. Przede wszystkim drażni mieszczan-kolonistów wojownicza polskość szkoły katedralnej. Wywalczają sobie więc osobną, nową szkołę przy kościele parafialnym św. Marii Magdaleny, bo „chłopcy nie mogą chodzić do szkoły daleko poza mury miasta" (stary, polski Wrocław sprzed kolonizacji znalazł się poza murami nowego, niemieckiego Wrocławia). Katedra broni się, zastrzega sobie naukę wyższą. Ale w drugiej połowie XIV w. coraz więcej Niemców wciska się i do głównego ośrodka życia umysłowego średniowiecznego Wrocławia — szkoły katedralnej.

Od razu występuje przecież ciekawe zjawisko. Ów nauczycielski żywioł niemiecki, wywodzący się przeważnie z mieszczaństwa wrocławskiego, choć zaborczy — jest jednak umysłowo przyciężki. Liczba doktorów i magistrów maleje. Sami badacze niemieccy przyznają, że szkoła katedralna wrocławska, mająca na przełomie XIII i XIV stulecia pełne dane, aby rozwinąć się w uniwersytet, u schyłku w. XIV upada z braku wybitnych nauczycieli. Słowem, germanizacja życia umysłowego Wrocławia zabiła je od razu. I zabiła na długo. Wrocław niemiecki wyda z siebie niejednego kronikarza miejskiego lub humanistycznego panegirystę, ale uniwersytetu prędko nie wyda.

Zato bierze go pod swe panowanie rozwijający się świetnie uniwersytet krakowski. Wszyscy bez mała głośni i mniej głośni humaniści wrocławscy są wychowankami wszechnicy jagiellońskiej. Na przełomie XV i XVI wieku rozwija się wprawdzie humanizm wrocławski pozornie dość błyskotliwie, w gruncie jest to jednak fala przelotna, obca i kosmopolityczna, z własnym życiem niemieckiego miasta związana raczej słabo. Najlepszym przykładem jest sprawa nieudanej fundacji uniwersytetu wrocławskiego w r. 1505. Istotnym jej inicjatorem był Jan Turzo, również wychowanek uniwersytetu krakowskiego, do tego „syn najbogatszego obywatela Krakowa", sam uważający się za Polaka, choć pochodzący po prawdzie z głośnej rodziny węgierskiej, wielokrotnie zresztą z Jagiellonami związanej. Otóż Turzo, humanista wybitny, a od r. 1502 koadiutor biskupa wrocławskiego z prawem następstwa, zmusza po prostu radę miejską Wrocławia do zdeklarowania odpowiednich funduszów, na skutek czego Władysław Jagiellończyk, ówczesny król Węgier i Czech, a zatem zwierzchni pan Śląska, wystawia w r. 1505 akt erekcyjny uniwersytetu wrocławskiego. Uniwersytet mimo to nie powstał. Formalnie stało się to dzięki protestowi akademii krakowskiej. Protest ten jest może bardzo charakterystyczny, ale nie on zaważył istotnie na sprawie uniwersytetu. Zabiła ją okoliczność, że niemiecki w swych górnych warstwach Wrocław nie stanowił, mimo pozorów humanistycznej ogłady, dość silnego środowiska intelektualnego (znów stwierdzenie samej nauki niemieckiej!). Miasto, wcale szczerze dla sprawy uniwersytetu nie zapalone, poczęło wznosić budynki... drewniane. Ostatecznie zabrakło funduszów i co jeszcze charakterystyczniejsze — profesorów. Niemcy nie kwapili się jakoś do nauki, a co wybitniejsze siły polskie wchłaniała łatwo monarchia jagiellońska, będąca w złotym wieku swej kultury.

Tak przyrósł do uniwersytetu krakowskiego jeden z wybitniejszych jego profesorów początku XVI w. — Michał z Wrocławia, teolog, filolog, astronom i matematyk zarazem (zm. 1534). Tak pozostał w Polsce zapalony i wybitny na swój czas kartograf, Maciej Strubicz, syn wrocławskiego mieszczanina, nobilitowany przez Zygmunta Augusta w r. 1563. Sporządzał później dla Batorego mapy teatrów jego wojen, zużytkowane następnie w słynnym atlasie Gerarda Merkatora z r. 1595.

Nie znaczy to, aby we Wrocławiu samym zamarły całkiem polskie tradycje naukowe. Ot np. zmarły w r. 1527 ks. Benedykt, zakonnik augustiański i proboszcz św. Ducha we Wrocławiu, urodzony, nawiasem mówiąc, w Poznaniu. Mól książkowy był z niego tak zawzięty, że dla studiów historycznych zaniedbał zarząd majątków Kościoła; doprowadził do zawalenia się browaru, do ruiny szpitala i dzwonnicy, z tego miał dużo przykrości. Badał ks. Benedykt historię śląską, przerabiał kronikę książąt śląskich, pisał o św. Wojciechu, o Piotrze Właście. Zacięcie miał, zamiłowanie miał, ale nie miał ani przygotowania, ani środków. Dzwonnica się zawaliła, a on nieznanym kronikarzem pozostał, choć kto wie — w Polsce, inne mając otwarte horyzonty, byłby może Kromerem drugim, a choćby i Miechowitą? Ale i tak wart zbadania bliższego, i on i wielu innych i miejsce w dziejach nauki naszej mu się należy.

Tymczasem Wrocław niemiecki pęczniał, bogacił się, handlował, ale na naukę wciąż patrzał krzywo. Dowodzi tego najlepiej druga próba stworzenia w mieście wyższej uczelni, początkowe dzieje wrocławskiej akademii Jezuitów. Jezuici usiłowali usadowić się we Wrocławiu już około r. 1562, po raz drugi w r. 1638, a wreszcie w r. 1645 uzyskali pozwolenie na założenie kollegium. (Rozsiadło się ono na zamku królewskim, stawianym przez Zygmunta Starego w czasach, gdy był namiestnikiem Śląska). Przemienienia kollegium na akademię dobili się zaledwie w r. 1702, walcząc o to przez lat dwadzieścia parę... z miastem i jego wpływami na dworze cesarskim. Jezuici ściągnęli na Śląsk z Ołomuńca, przynależeli do zakonnej prowincji czeskiej i w ówczesnych stosunkach nieśli ze sobą raczej germanizację. Mimo to miasto prowadziło przeciw nim namiętną walkę. Powody tego były różne: religijne (Wrocław tymczasem stał się protestanckim), gospodarcze i osobiste zawiści, jak to zawsze w życiu. Przy tym, co innego powody istotne, co innego argumenty. Ale wśród argumentów, którymi miasto wojuje przeciw akademii, jest jeden bardzo ciekawy. Jeżeli będzie akademia — wywodzi Wrocław w r. 1695 — to wśród jej uczniów będzie masa Polaków. Scholarze — jak to scholarze — mogą wszcząć burdy. Ale niech miasto któregoś zasądzi i niech to będzie jeszcze szlachcic, zaraz się ujmie król polski i gotów ukrócić handlowe przywileje Wrocławia. Uchowaj Boże, ruina mogłaby być większa, niż gdy dwa wieki temu wstecz żołdacy króla Macieja Śląsk plądrowali. Niech więc już lepiej nie będzie tej akademii!

Powstała jednak, a co więcej, żywioł polski wcale mimo to groźną falą bogatych sklepów wrocławskich nie zalał, choć dla dziejów polskości miasta jest przytoczona powyżej argumentacja przyczynkiem niewątpliwie ciekawym. Dzieje jezuickiej akademii we Wrocławiu wymagają zresztą jeszcze zbadania z polskiego punktu widzenia. Na pierwszy rzut oka jezuitów-Polaków było we Wrocławiu niewielu. Byli jednak, choćby przelotnie, jak Adam Kochański, który tu badał komety w r. 1678, a był wybitnym na swój czas fizykiem, astronomem i matematykiem, korespondującym z Leibnitzem. Później powołał go Jan III. Sobieski na wychowawcę królewicza Jakuba i na bibliotekarza Wilanowa. Na ogół jednak trudno się po życiu umysłowym polskim we Wrocławiu na przełomie XVII i XVIII stulecia spodziewać wiele, skoro to była doba ogólnego upadku kultury polskiej.

Ostatecznie w r. 1741 dostaje się Wrocław w ręce pruskie. Ma to duże znaczenie dla miasta, dopiero teraz bowiem rozpoczyna się na dobre robota germanizacyjna, systematyczna, planowa, dokładna. Czy niemiecki Wrocław ma, czy nie ma ochoty do teoretycznej nauki, dawna akademia jezuicka zostaje z czasem przekształcona w normalny, pełnowydziałowy uniwersytet, i jak we wszystkich dziedzinach, tak i w naukowej idzie odtąd przez cały wiek XIX świadoma, pilna i skrzętna praca nad budową życia niemieckiego na wschodzie. Z biegiem lat wyrastają przeróżne „Wissenschaftliche Vereine", mnożą się wydawnictwa, niemieckość wielokrotni się i wielokrotni.

Równocześnie jednak istnienie i rozwój we Wrocławiu normalnego, pełnego uniwersytetu daje i Polakom miejscowym większą sposobność kształcenia się i szereg naukowych impulsów. Skoro zaś z rozbiorami przypadły Prusom wielkie obszary Polski dotąd niepodległej, zaczyna napływać z nich do stolicy Śląska nowy polski element uczniowski i akademicki. W ten sposób odżywa na długo zerwana łączność miasta z wnętrzem kraju macierzystego. Reszty dokonuje ogólny prąd budzenia się życia narodowego obejmujący coraz żywiej i Śląsk. Dzięki temu wszystkiemu mamy do zaobserwowania rzecz pozornie absurdalną: w coraz bardziej niemieckim Wrocławiu rozwija się — aż do czasów „Kulturkampfu" — coraz bujniej szerokie życie naukowe i studenckie polskie.

Dzieje jego są bardzo bogate. Notujemy przykładowo tylko kilka pozycji.

Więc najpierw zjawisko, które nosi nazwę: Jerzy Samuel Bandtkie. Z Lublina, gdzie się urodził, przybywa w r. 1779 na naukę gimnazjalną do Wrocławia, do stryja, właściciela warsztatu szewskiego. Uniwersytet kończy w Halli, od r. 1798 jest nauczycielem języka polskiego w gimnazjum św Elżbiety we Wrocławiu, później rektorem szkoły św. Ducha, a zarazem bibliotekarzem przy kościele św. Bernardyna, aż do powołania go w r. 1811 na katedrę bibliografii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Powołano go już jako wybitnego uczonego polskiego, której to sławy dobił się na swych skromnych placówkach wrocławskich, i dobił się słusznie. Bandtkie bowiem to nie tylko człowiek, który pierwszy podjął naukowe badania nad polskością Śląska, jego przeszłością i mową jego ludu, ale niestrudzony pionier unowożytnienia nauki polskiej w ogóle, jeden z tych, co kładli jej podwaliny mrówczą pracą i niewyczerpaną inicjatywą, a do tego pierwszy świadomy swego celu propagator polskości na terenie nauki zagranicznej. Słowem, Wrocław ofiarowywał w jego osobie Krakowowi klejnot pierwszej klasy.

Wyrażano w przedwojennej literaturze naukowej pewnego rodzaju zdziwienie, skąd Bandtkie, który miał niewątpliwie sporo krwi niemieckiej w żyłach, a do r. 1811 działał w „środowisku niemal wyłącznie niemieckim", zaczerpnął tak żywą i gorącą świadomość narodową?

Otóż, czy naprawdę w „środowisku niemal wyłącznie niemieckim"? Najbardziej to krzywdząca dla dziejów polskiego ruchu umysłowego we Wrocławiu pomyłka. Środowisko to na przełomie XVIII i XIX w. było bowiem na tyle polskie, że w tymże pokoleniu wychowało nie jednego Bandtkiego, ale i Józefa Elsnera (ukończył szkołę Dominikanów wrocławskich przed r. 1792, a był później, jak wiadomo, nie tylko ukochanym nauczycielem Chopina, ale i autorem rozprawy „O metryczności i rytmiczności języka polskiego") i niebawem niestrudzonych szermierzy polskości Śląska, Józefa Lompę i ks. Ficka, żeby wymienić tylko co głośniejszych. To są jednostki, prawda. Ale są i zjawiska masowe. Przecież w latach 1821—24, równolegle z wileńskim procesem filomatów, ma i Wrocław śledztwo policyjne w sprawie tajnych związków młodzieży polskiej, którego nici wiodą wprost do Warszawy, do wielkiego księcia Konstantego, a pośrednio do osławionego Nowosilcowa. Sprawa skończyła się mniej tragicznie, bo młodzież wrocławska zdołała papiery zawczasu spalić, ale i to, co wyszło na jaw, że np. co roku obchodzono we Wrocławiu uroczyście choć tajnie rocznicę Konstytucji 3-go maja — warto zaiste przypomnieć!

Z powiewem romantyzmu, z napływem do Wrocławia uczestników walki 1831 r., nurt polskości wśród młodzieży wrocławskiej nie tylko nie słabnie, ale wciąż przybiera na sile. Kiedy w r. 1836 Czech Purkynie, głośny fizjolog, profesor wrocławski, a później praski, organizuje „Towarzystwo literacko-słowiańskie we Wrocławiu", Polacy właśnie stanowią jego główne kadry. Jeszcze lat kilkanaście, a Wrocław, to „środowisko niemal wyłącznie niemieckie", staje się istną kuźnicą polskości.

Od r. 1860 na katedrze filologii słowiańskiej uniwersytetu wrocławskiego zasiada Wojciech Cybulski. Któż to jest? W dziejach polskiej krytyki literackiej pozycja ważna, twórca pierwszego w naszej literaturze naukowo traktowanego zarysu dziejów romantyzmu polskiego. Ale jeszcze ktoś więcej: powstaniec roku 1831, uczestnik rewolucji berlińskiej 1848, kurator Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, które za jego czasów wypełnia posiedzenia niemal wyłącznie tematami z historii i literatury polskiej (to w protokołach jawnych), a niebawem analizuje współczesne krwawe wypadki warszawskie, aż młodzi studenci uniwersytetu zerwą się i rzucą do walki rewolucyjnej; i Adam Asnyk, i Ksawery Liske i inni — tylu, tylu!

A po Cybulskim: Władysław Nehring. Nie pod koniec życia, jak Cybulski, ale od początku zawodu naukowego we Wrocławiu. Od r. 1850 słuchacz, a od r. 1868 następca na katedrze Cybulskiego. Zrazu historyk, później coraz bardziej krytyk literacki i filolog. „Jeżeli w rozwoju językoznawstwa naszego" — pisał o Nehringu zaraz po jego śmierci w r. 1909 A. Kryński, — „odróżniamy dwa, mniej więcej półwiekowe okresy czasu — pierwszy okres Kopczyńskiego i jego naśladowców, ciągnący się poza pierwszą połowę XIX w., i drugi, od ukazania się prac opartych na badaniach językowo-porównawczych, któremu przysługuje miano okresu naukowego, krytycznego, to w okresie tym udział Nehringa w rozwoju naszej nauki należy do najwybitniejszych". A wrocławscy uczniowie Nehringa — któż to? Wystarczy jedno nazwisko: Ignacy Chrzanowski. Streszczając: Wrocław to bodajże jedna z najważniejszych kolebek dzisiejszej naukowej filologii polskiej.

I żeby tylko filologii. W latach 1841—93 zasiada na katedrze historii we Wrocławiu Ryszard Roeppel, Niemiec, u którego boku stoi żona warszawianka i „jej to zachęta i pomoc" zwróciła była Roeppla, wedle wspomnień współczesnych, do studiów nad historią Polski. Otóż te badania Roeppla i jego seminarium historyczne we Wrocławiu wychowało i zapłodniło pokolenie badaczy polskich z Ksawerym Liskem na czele, jednym z ojców nowoczesnej metodycznej i naukowej historiografii polskiej. Historiografia ta, narodzona później w Krakowie i Lwowie, poczęta została w ten sposób poniekąd — we Wrocła-

wiu. A w Liskem nie podobna widzieć tylko badacza i twórcę całej szkoły historyków, którzy przejęli jego mistrzowską metodę. Ksawery Liske — to przede wszystkim gorące serce polskie tak samo za młodu, gdy jako gospodarz „koszar polskich" (tak zwano polski dom akademicki we Wrocławiu) był duszą życia studenckiego, jak gdy umierając ostatnim, przedśmiertnym słowem polecał polskości „Kwartalnik Historyczny" założony przezeń we Lwowie — dziś już przeszło półwiekowy sztandar polskiej nauki historycznej. Tacy jak i Liske, byli duchem wszyscy polscy adepci studium historycznego we Wrocławiu za czasów Roeppla: i Wincenty Zakrzewski, i Zygmunt Celukowski, i Bronisław Dembiński i J. K. Plebański i ci, co bez większych zasług pióra, cisi pracownicy szkół średnich poszli w cień zapomnienia, wykonawszy przed tym uczciwie swą służbę społeczną.

Przykłady podane dalekie są od wyczerpania roli Wrocławia w dziejach kultury polskiej. Dość ich jednak, aby stwierdzić, że Wrocław posiada polską tradycję naukową i uniwersytecką, i to tradycję najwyższej klasy, bo taką, w której myśl badawcza splatała się nieodłącznie z myślą obywatelską.

Co tworzyło jednak tę dziwną, gorąco polską atmosferę wrocławskiego środowiska naukowego, które, jakże nieopatrznie zaliczane z reguły do „zagranicznych" miejsc studiów Polaków, nie tylko nie wynaradawiało młodych, ale przeciwnie, gruntowało w nich świadomość narodową? Co sprawiło, że tu mogli dojrzeć jako Polacy ludzie tej miary jak Bandtkie, jak Ksawery Liske, jak ks. Damroth — później czołowy liryk polskiego Śląska, jak polski Homer Śląska — ks. Bończyk? (Jeszcze, aby nie mnożyć faktów, jedno przypomnienie: studentem uniwersytetu wrocławskiego od r. 1884 był również Jan Kasprowicz). Przyczyn oczywiście złożyło się wiele. Na jedną, nie jedyną zapewne i nie najważniejszą może, ale przecież ważną, godzi się w zakończeniu zwrócić uwagę. Oto aż do ostatnich dziesiątków lat XIX w. grupa badaczy i studentów polskich we Wrocławiu nie była tam całkiem na obczyźnie. Ogół miejscowej inteligencji, czy raczej plutokracji Wrocławia był już w połowie stulecia niemiecki, to prawda. Taki Wrocławianin, jak ks. Kraiński, posyłający w r. 1874 trzy tys. marek poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, jest wyjątkiem. Ale w drobnych sklepikach, na rybackim wybrzeżu Odry, po poddaszach i zaułkach, tętniła jeszcze ciągle mowa polska. Młodzi słyszeli ją, organizując swe biedne, studenckie życie gospodarcze, słyszeli, gdy porwał ich nurt podziemnego życia politycznego. Tylko kraj nie wiedział, nie chciał wiedzieć o tym. W r. 1847 Wincenty Pol odkrywał ze zdumieniem, że we Wrocławiu dorożkarze i sprzedawcy po sklepach mówią po polsku. W pół wieku później 5 grudnia 1892 r. odbył się we Wrocławiu wiec robotniczy w sprawie założenia „Towarzystwa Socjalistów Polskich". Gdy przedstawiciel Towarzystwa Przemysłowego, niejaki Harkiewicz, rauził, by towarzystwa takiego nie zakładać, „bo i tak mówią po niemiecku, a po polsku mało kto", nazwano ten głos „dowodem straszliwej głupoty, albo i zgnilizny moralnej": „My, robotnicy polscy nie tylko jesteśmy socjalistami, ale i Polakami". Istniały takie zagadnienia we Wrocławiu jeszcze w r. 1892, istniały naprawdę! Świadek jest niepodejrzany, Stanisław Przybyszewski. Zapomniany prawie przez swoich i obcych, polski Wrocław proletariacki, Wrocław twardej pracy i wiekowej krzywdy istniał jeszcze wówczas, bronił się uparcie i słał tchnienie oporu i miłości do straceńczej, zdawało się, sprawy tym z „inteligentów", którzy umieli go dostrzec. Na tym tle rozważane polskie życie uniwersyteckie Wrocławia XIX w. traci absolutnie charakter życia kolonii polskiej na obczyźnie. Jest życiem Polaków na kresach.

Ostatnie pięćdziesięciolecie było jednak dla polszczyzny dolno-śląskiej najcięższe, śmiertelne niemal. Tylko ziemia gromadziła prochy i przechowywała je wiernie, przemawiając „iście niemieckimi" nazwiskami wrocławskich nagrobków cmentarnych: Rybak... Dzięcioł... Kozioł...

A dziś — wracamy. Nie na obcy teren, ale do siebie, do domu. I ci, co wchodzą do fabryk, i ci, co wejdą w otworzyć się mające podwoje polskich wyższych uczelni Wrocławia. Może miasto kłuć nas w oczy tysiącami obecnych jeszcze Niemców, my wiemy, że jest nasze. Nie tylko prawnie, w skali międzynarodowej. Moralnie nasze. Na każdym kroku drzemie świeży jeszcze ślad polskości. Wracamy do domu. Trzeba to mocno, aż do znudzenia powtarzać sobie. Trzeba w to uwierzyć, nie czekając, aż badania historyczne nadrobią zaniedbania i rozłożą przed nami pełny wachlarz szczegółowych argumentów. Trzeba mieć wreszcie odwagę w to uwierzyć, że rzecz jest aż tak bardzo prosta: wracamy do domu.

Ewa Maleczyńska

Wszystkie wydawnictwa, nadsyłane do redakcji, będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek, nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

TADEUSZ PEIPER

O VII-ej symfonii Szostakowicza

Jest w tym dziele jeden — powiem po literacku: — rozdział, w którym wojna występuje z zupełną bezpośredniością. Rozdziałem tym da się objąć mniej więcej druga połowa pierwszej części symfonii. Ma tu przed sobą słuchacz walkę dwu mas ludzkich, walkę, która tworzy dzieje naszego czasu.

Zaczynają ją brzęki wojskowego bębna, w swej zawartości przerażająco suche, w swym ruchu przerażająco mechaniczne, niewolnicze. Z gruba mówiąc: to wymarsz i marsz Niemców. Idą te brzęki ciągle w jednym i tym samym rytmie, w jeden i tén sam sposób, nieprzerwanie, nieprzerwanie. Z gruba mówiąc: to posuwanie się Niemców. Przychodzi moment, kiedy wśród brzęków bębna dają się odróżnić inne głosy, głosy potworne, głosy, w których jest wycie dzikusów, ryk zwierząt drapieżnych. Z gruba mówiąc: Niemcy są już bardzo blisko.

Przeciw temu mechanicznemu, niewolniczemu, nieludzkiemu ruchowi podnosi się fala dźwięków, rozrzewniających pogodą, która jeszcze w nich jest z czasu pokoju. To pierwsza reakcja ojczyzny autora. Niosą ją szlachetnie skrzypce i fagoty. Początkowo fala jest niezwarta, ale każda nowa chwila skupia ją, poszerza, powiększa i wzmacnia. Nadciągają nowe fale, nadciągają z daleka, z głębi olbrzymiego kraju, z odległych jego ziem, nadciągają, łączą się ze sobą, narastają, są coraz bardziej wydłużone, coraz bardziej wysokie i pod działaniem jednolitej siły starają się odepchnąć ów mechaniczny, niewolniczy, nieludzki napór, starają się wznieść ponad niego, starają się zepchnąć go w dół, przywalić go sobą.

Na pewno nie wszyscy słuchacze tak właśnie w i d z i e l i ten rozdział symfonii. Z tego, co o niej napisał znakomity pisarz Al. Tołstoj, wynika, że słuchając tej części dzieła miał inne w i d z e n i a. Ale na tym właśnie polega magia muzyki i poezji, że w wyobraźniach słuchaczy wywołuje ona niejednakowe obrazy, a jednak mimo to ustanawia na czas swego działania między głębiami dusz zasadnicze podobieństwo przeżyć.

Ja pozostaję przy moich widzeniach. Choćby dlatego, że zawdzięczam im jedno z najsilniejszych wzruszeń, jakie dała mi muzyka. Zmaganie się dwu mas ludzkich wypowiedziało się w symfonii Szostakowicza tak zupełnie, że towarzyszyłem mu z najczulszym współdziałaniem serca; krew napierała na tętnice; ramiona targane drganiami wewnętrznymi nie umiały znaleźć sobie miejsca.

Owo zbieganie się fal idących przeciw marszowi napastnika i ich wznoszenie się ponad ten marsz! Szostakowicz złożył tu wspaniałe zdobycze swej wynalazczości artystycznej, zaangażował tu całą swoją moc twórczą. I przebieg zdarzeń wystąpił tu z taką prawdą, że widzimy go aż z jego właściwościami przestrzennymi. Ukazują się nam przestrzenne elementy walki. Po prostu widzimy spychanie wrogich ruchów, wspinanie się na nie, przywalanie ich sobą, zalewanie ich. Z taką wyrazistością narzucała mi muzyka właściwości ruchu w przestrzeni tylko w „Jeździe Walkiryj" Wagnera, i to kiedy słyszałem ją w sali koncertowej, a nie w teatrze, gdzie mitologia i kostiumologia zasypują ją trocinami wybebeszonych lalek.

A ów mechaniczny marsz wroga! Stosunek autora do przedmiotu charakteryzuje jeden szczegół. Mechanicznie zrytmizowane brzęki wojskowego bębna wydają się nam w pewnej chwili aż monotonne. Opada nas myśl, że dzieło zyskałoby pod względem artystycznym, gdyby autor wprowadził w tę monotonię jakieś zmiany. Choćby jakieś pauzy. Lecz autor przez długi, długi czas żadnej zmiany nie wprowadza. Bo tak właśnie przeżywaliśmy owo posuwanie się Niemców. Było ono dla nas boleśnie jednakowe, boleśnie nieprzerwane. Kosztem prawdy nie chce autor uzyskać zalet artystycznych.

Ten rozdział symfonii daje prawdę — chciałoby się powiedzieć — historyczną. Jest dźwiękowym przyczynkiem do historii wojny między Niemcami a Związkiem Radzieckim, uwzględniwszy zaś niektóre analogie, można by go odnieść do historii wojny Niemiec w ogóle ze światem. Muzyka dała tutaj więcej, niż można było od niej oczekiwać.

*

Jest w pierwszej części symfonii jeszcze jeden rozdział ściśle wojenny: requiem za poległych na polu walki.

W swych wypowiedziach, dołączonych do programu wieczoru koncertowego, mówi o nim autor, że zajmuje ono w tej części dzieła miejsce centralne.

Opieramy się tu sugestii autora. Przeżywamy ten rozdział inaczej. Wprawdzie rozbolałe solo fagota, którym przemawia owo requiem, wzrusza nas do głębi, wprawdzie każdym swym tonem przekonywa nas ono, że opłakuje śmierć piękną, ale ani w naszych uczuciach, ani w naszej wyobraźni nie udaje mu się zająć tego miejsca, jakie zajął ów niezwykły rozdział walki.

I opada nas myśl, że wyróżnienie, uczynione przez autora, jest odwróceniem uwagi słuchacza od rozdziału, który niestety w całości dzieła nie ma swych odpowiedników. Może dzieło, pisane bardzo szybko, przybrało w czasie tworzenia inną postać, niż autor pierwotnie zamierzył, i kiedy ukazała mu się całość, zmuszony był spojrzeć innym okiem na najbardziej wyrazisty rozdział.

*

Dwaj wybitni krytycy muzyczni wypowiedzieli sąd, że na pierwszej części mogłoby się dzieło zakończyć, że ta część powiedziała już wszystko, co trzeba było powiedzieć.

Niesłuszne.

Przeżywając wojnę przeżywa człowiek równocześnie pokój, który ją poprzedził, i pokój, który po niej nastąpi. Takie są ludzkie związki przeżyć. To, co radowało człowieka w czasie minionego pokoju, powraca nieustannie jako wspomnienie, powraca w strzępach, ale strzępy te zawisają na sztandarach, powiewają nad uroczystymi zdarzeniami bieżących dni, mieszają się z bolesnymi przejściami kraju i krajów. A obok wspomnień marzenia o przyszłości, o życiu, które będzie po wojnie. Człowiek marzy, że dawne jego radości wrócą i to w doskonalszej postaci, wzbogacone mądrością, jaką daje wojna, spotęgowane rozkwitem, jakim zabłyśnie zwycięstwo. Jako odgałęzienie tych marzeń i wspomnień pojawiają się w jego przeżyciach wojennych obrazy życia intensywnego, bujnego, twórczego. Pojawiają się właśnie w czasie wojny. Właśnie kiedy śmierć jest tak blisko.

To wszystko, choć jest przeżywaniem pokoju, jest też przeżywaniem wojny. Przeżycia ściśle wojenne łączą się z przeżyciami wywodzącymi się z przedwojennego i powojennego pokoju. Nie ma jednych bez drugich. Jedne i drugie wiążą się ze sobą organicznie.

Nie mógł tego nie dostrzec w duszy ludzkiej wielki artysta, jakim jest Szostakowicz. Dostrzegł i wprowadził w swe dzieło.

Po swojemu ujawnił to nawet w wypowiedziach, które załączył do programu premierowego wieczoru. Mówi w nich, że druga część symfonii zawiera „wspomnienia o jakichś przyjemnych zdarzeniach, o radosnych epizodach"; trzecia część „upojenie życiem, adorację przyrody"; część czwarta „apoteozę wszelkiego tworzenia".

Wśród przenikliwych spojrzeń w duszę ludzką, w jakie obfitują te części dzieła, zwraca na siebie uwagę wprowadzenie adoracji przyrody. Adoracja przyrody w symfonii wojennej? Jakiż związek? W pierwszej chwili dziwimy się. A jednak związek jest i Szostakowicz ukazuje go bardzo głęboko. Związek powstaje poprzez upajanie się życiem, które różnymi drogami prowadzi do przyrody i do jej uwielbienia.

Marzenia o epoce, która przyjdzie po zwycięstwie, stanowią zakończenie dzieła. Tryumfalnymi dźwiękami, ogarniającymi całą orkiestrę i wznoszącymi się do najwyższych stopni siły, rozgłasza artysta apoteozę wszelkiego tworzenia. Po zwycięstwie wojennym mają przyjść wielkie zwycięstwa pokoju. Tak marzą o epoce pokoju — twórcy. Szczególnie twórcy sowieccy. Szostakowicz dał tu jeszcze jedną prawdę. A wypowiedział ją z propagandowym natężeniem głosu.

Wszystkie składniki przeżyć wojennych znalazły wyraz w dziele Szostakowicza. Pod tym względem jest ono imponującym dziełem prawdy.

*

Lecz: przebiegi przeżyć i ich ustosunkowania!

Przeżycia nie są w dziele Szostakowicza dostatecznie bliskie swego naturalnego rozwoju. Ani w swej własnej linii, ani w krzyżowaniu się z innymi, nie są dostatecznie zgodne z rzeczywistością psychiczną. Są zbyt poszufladkowane. W jedną część symfonii włożono to, w drugą tamto, w trzecią coś trzeciego. Odpowiada to wymogom symfonii jako utworu muzycznego o ściśle określonej budowie, ale nie odpowiada naturze przebiegów psychicznych. Jest to tym bardziej przykre, że język muzyczny, którym posługuje się autor, nie zawsze jest na tyle świeży, aby móc wypowiedzieć rzeczywistość naszego czasu.

A proporcje... Wojna ma w dziele Szostakowicza nieproporcjonalnie wiele ognisk powabnych. Ogarnięte są nimi niemal trzy czwarte symfonii. Przecie spory kawał części pierwszej, cała część druga, cała część trzecia i niemal połowa części czwartej zawierają takie treści, jak piękne pokojowe przeżycia, wspomnienia przyjemne, radosne, upojenie życiem, uwielbienie przyrody, ubóstwienie tworzenia. Rozrosły się nadmiernie te przeżycia piękne, miłe, radosne, upojne, rozrosły się kosztem innych, rozrosły się kosztem niechęci, odrazy, bólu, które budzi wojna, a także kosztem przeżyć bohaterskich, w których zło wojny przetwarza się na wyższe wartości ludzkie, ale w których zło wojny — jest. Na pewno ów nadmierny rozrost nie leżał w intencjach autora. Jest on znowu następstwem postulatów, które stawia symfonia jako określona forma muzyczna.

Szostakowicz, wielki artysta, czyni przeróżne wysiłki, aby w granicach obranej przez siebie formy uzyskać potrzebną sobie swobodę, ale czyni je jak człowiek szamoczący się w tyrańskich więzach.

*

Zastrzeżenie:

Symfonię Szostakowicza słyszałem tylko raz jeden. Cztery miesiące temu.

Tadeusz Peiper

Kujbyszew, 1942.

JANUSZ KASPERSKI

Kiedy jabłka się złocą...

Jesień, jesień, magiczna, jesień Salomona,
Kolumnady szpalerów, drzewa owocowe,
Matrona w złotogłowiu i jabłek Madonna.
W sztywnych fałdach melodii stoją jeleniowie.

Już Per Tetragrammaton znalezione oto:
I metal liści lśniących przetopiony w złoto.

O! kiedyż po burzliwym życiu — dobrotliwy —
Z fletem, szpakiem, książkami, z mądrości prostotą,

W chłodnym domku osiądę jak alchemik siwy,
Wśród jesieni, i z serca będę robił złoto?

I będę budził z szuflad widma róż z uśpienia,
Nad głową mając gwiazdę czystego sumienia...

ANDRZEJ NOWICKI

Ślad Cherubina*)

Pomyśl, poeto, pomyśl,
Że gdzieś po tajnych kątach
Szeleści, kryje się i błąka
Tysiąc znikomych
Niepowiedzianych słów,
Rozbudź je i odchuchaj i serce nimi naciesz
I własny złóż w nich pacierz —
I zmów.

Na ślad cherubina
Oczy otwórz,
Oto się zaczyna
Nasza podróż.
Podróż, jak rozmowa,
Jak zabawa
Po cherubinowych
Nikłych śladach.

Chwilę się zastanów,
By nie zgubić
Drogi, którą sam ów
Szedł Cherubin,
Zaraz ci wymienię
Dla przykładu,
Gdzie są choćby cienie
Jego śladów.

To prześwity słońca
Przez sieć deszczu,
Gwiazda spadająca,
Zapach zmierzchu.
Łza co błysła w rzęsach
I nie spadła,
Słowo co ugrzęzło
W skurczu gardła —

Wszystko, co się kończy
Gdy — zaczyna,
To znak wskazujący
Cherubina.

Spójrz teraz przed siebie
Pomilcz, przystań —
Tam obłok na niebie,
Tutaj przystań —
Okręt u przystani
Rytm kołysze,
Morze, niebo nad nim,
Jak dwie cisze.

Ujrzysz i usłyszysz,
Gdy błękitu
poda cisza nocy
Pocałunek.

Okręt w przystani,
Czy też obłok?
My niespodziewanie
Tutaj obok.
Kapitan okrętu
Patrzy w spokój.
Kapitan okrętu
Czy obłoku?
Kapitan powoli
Pali fajkę...
Powiedz: bajkę wolisz
Czy nie bajkę?
Twoje oczy oto
Zmierzchem mokre.
Wsiadamy na obłok,
Czy na okręt?

Szelest Cherubina
Słyszysz? Jest tu.
Tak się wiersz zaczyna
Od szelestu.

*) Z będącego w druku tomu pt. „Podróż do świętej ziemi".

JAN REYCHMAN

Mit zbójnicki

W odpowiedzi na ankietę „Odrodzenia" w nr. 25 tegoż czasopisma, Jalu Kurek potrącił znów o nieśmiertelny „mit Janosika". Zapowiadając nową o nim powieść wyraził się: „historia Janosikowa nie jest przypadkową legendą, lecz ma swoje uzasadnienie społeczne". Problem Janosika i cały kompleks karpackich zbójników, to problem tak obszerny i ciekawy, że będzie rzeczą interesującą omówić go w paru słowach i spróbować rzucić go właśnie — tak jak to wskazał Jalu Kurek — na jego tło społeczne.

I

Rozpatrując problem zbójnicki we wszystkich jego fazach i przejawach, wszędzie znajdziemy jedne i te same, analogiczne prawie wątki. Bo czy to będzie Dobosz w Karpatach Wschodnich, Janosik w Tatrach, Ondraszek w górach Cieszyńskich, hajducy serbscy, uskocy bułgarscy, bétyárzy madziarscy, zbójcy gór kalabryjskich, anatolijskich, kaukaskich, wszędzie słyszymy to samo mniej więcej o zbójniku: o jego sile nadludzkiej, o jego wspaniałomyślności, sprawiedliwości, ba nawet i pobożności. Motywy te powtarzają się stale do czasów najnowszych — nie trzeba dalej sięgać, aby przypomnieć, że podobna urosła legenda o czynach znanego przed kilkunastu laty rozbójnika Maczugi — i czynią z postaci zbójnika jakiegoś obrońcę lub nawet przywódcę biednego ludu w jego walce o wolność, ba, nawet realizatora jakiejś sui generis sprawiedliwości społecznej, starającego się poprzez odbieranie bogatym a dawanie biednym o wyrównanie tych materialnych nierówności, które były podstawą klasowych krzywd i poniżeń.

Przystępując do rozpatrzenia tych wątków, a zostawiając na boku taki np. motyw jego siły nadludzkiej (zwykle przywiązanej do jakiegoś przedmiotu np. pasa — motyw włosów Samsona czy pięty Achillesa), widzimy, że sam motyw rabunku bogatych i obdarowywania biednych da się w zupełności wytłumaczyć podłożem, na którym rozwijało się zbójnictwo. Zbójnik nie rabował biednych — cóżby zresztą mógł u nich rabować? Zresztą musiał z nimi zachować dobre stosunki, mógł więc im nieraz rozdać i coś ze swych łupów. Bo przecież oni go kryli, oni go ostrzegali, bez ich pomocy nie mógłby się swobodnie poruszać w terenie, wymykać się tropiącym go żandarmom, pandurom, strażnikom. Nic więc dziwnego, że w wyobraźni ludu wytwarzało się poczucie solidarności ze ściganym przez prawo zbójnikiem. Wszak nie tylko on był z nich, z ich krwi i kości, ale miał ze wsią wspólnych wrogów. Jego prześladowcy: żandarmi, pandurowie, administracja, rządcy leśni, to wszystko z ramienia wielkich właścicieli ziemskich i wspartego na nich ustroju społecznego reprezentanci nienawistnego dla wsi systemu społecznego. Wszak on był tak samo poza prawem, jak faktycznie poza prawem była cała dola chłopska. Bicz spadający na chłopskie plecy, wymierzony był tą samą ręką, którą przed chwilą strzelano do ukrytego w lesie zbójnika. Tworzyła się i cementowała jakaś wspólnota, poczucie wspólnego frontu i solidarności z tymi, którzy przeciw znienawidzonym „panom" odważną podnosili rękę, którzy ośmielali się zatrzymywać dworskie karoce, zakpić w ciemnościach i w pole wywieść wojsko i żandarmów.

II

Czy jednak tylko same te motywy niejako solidarności i wspólnej postawy emocjonalnej wobec wspólnego wroga zdecydowały o powstaniu wątku o szlachetnym zbójniku walczącym z „panami", a opiekującym się biednym ludem? Wyobraźnia ludowa robi cuda, poczucie krzywdy jest w niej wyjątkowo zaostrzone. Ale, żeby głębiej zrozumieć genezę tego wątku, cofnąć się musimy o pare stuleci i wejrzeć w tło społeczne okresu, na którym wyrastało zbójnictwo, to zbójnictwo, które my znamy, to jest XVII i XVIII w.

Wzrastający w tym okresie ucisk warstwy chłopskiej nie mógł pozostać bez reakcji, bez oporu, który w formie często jeszcze niezorganizowanej, bez wyrobionej świadomości, bez przywódców, wybucha w postaci małych ognisk, jakby gejzerów kolejno przebijających skorupę ziemską. W Europie południowo-wschodniej, na obszarze, który nas tu ze względu na zagadnienie karpackie obchodzi, mamy w tym okresie wojnę chłopską Dózsy na Węgrzech, ruchy Chmielnickiego czy Stienki Riazina na Ukrainie, bunt Kostki Napierskiego na Podhalu, „buny" chorwackie z XVI wieku, powstanie Hory i Kloszki w Siedmiogrodzie (1785), insurekcje chłopów cieszyńskich za Józefa II, „pugaczewszczyznę" w południowej Rosji, rebelie w Banacie w 1735 — wszystko ogniwa jednego i tego samego łańcucha ruchy różne może w swoim składzie o rozmaitym zasięgu, ale zawsze mające to samo podłoże, tę samą genezę. Gdzie istniał teren przygotowany, gdzie zjawił się świadomy swoich celów przywódca, tam opór ten przybierał charakter ruchu masowego. Takimi ruchami było poruszenie Dózsy na Węgrzech lub Chmielnickiego na Ukrainie. Ruchy te o ściśle klasowym podłożu przechodziły czasem w ruchy o zabarwieniu narodowym czy religijnym, zawsze jednak mając za podłoże reakcję przeciw krzywdzie i tyranii, opór przeciw panowaniu człowieka nad człowiekiem.

III

Ale nie wszędzie opór ten przybierał takie świadome, zorganizowane formy. Zdarzało się, że bunt przeciw rzeczywistości nie znajdywał posłuchu, nie miał przywódców, nie znalazł wspólnego języka z masami, brak było organizacji. Czasem jednostka sama nie zniosła życia w okowach, sama zrywała się do oporu — ulegała, załamywała się albo uchodziła w las. A tam w górskich ostępach leśnych (dlatego też z obszarami leśno-górskimi geograficznie wiąże się wątek zbójnicki) gromadzili się już tacy, jak ona, wydziedziczeni. Tam uchodzili dezerterzy z wojska, rozbójnicy poszukiwani za zbrodnie, zbiedzy z więzienia, a obok nich poszukiwani przez prawo „podburzacze", wywrotowcy, apostołowie walki o wolność społeczną, narodową czy religijną, prześladowani za swe przekonania inteligenci, czasem szlachetni idealiści duszący się w atmosferze ówczesnego ustroju, tęskniący za swobodą, czasem zdeklasowani i wykolejeni, resztki rozmaitych „partyj" z czasów wojen szwedzkich, powstań węgierskich, wojen z Turkami, niedobitki kuruców węgierskich, konfederatów polskich, rebeliantów chłopskich, rozmaici malkontenci wyzuci z praw, w ogóle wszyscy mający coś na pieńku z władzami i dyszący nienawiścią do ustroju i organów jego panowania, element nic nie mający do stracenia, łatwo zapalny, butny i bitny, skłonny do wszelkiego ryzyka. Niespokojne czasy, których widownią była Europa Wschodnia w XVII wieku (wojny szwedzkie w Polsce, tureckie w kotlinie Dunaju, powstania węgierskie) sprzyjały gromadzeniu się w górach tego niespokojnego elementu. Zbierało się to po lasach, czyniło wypady na dwory, prezydia czy kasy skarbowe, żyło z łupów wspomagane czasem przez wieś. Czasem przekształcało się w zwykłą szajkę bandycką asymilując nawet element „ideowy", a czasem przeciwnie, gdy znalazł się jakiś mocny przywódca, zbiegły do lasu inteligent (legenda o studenckim pochodzeniu Janosika może też czerpie swe źródło w tych leśnych koligacjach inteligencko-partyzanckich?) potrafił on nawet z na pozór kryminalnej zbieraniny uczynić coś jak oddział partyzancki, w którym rozbój kas skarbowych nie jest celem, ale środkiem, a oparcie o wieś nie szukaniem zaplecza i „bazy zaprowiantowania", ale wynikiem pewnej określonej ideologii. Postać Pancho Villy, bandyty meksykańskiego, który pod wpływem szlachetnego idealisty Franciszka Madero staje się przywódcą „peanów" meksykańskich w ich walce z obszarnikami i wspartą na nich dyktaturą Porfirio Diaza, postać tak nam znana z powieści Pinchona i opartego na niej, przed 10 laty u nas granego filmu z Wallace Berry z jego kapitalnej kreacji, bynajmniej nie jest wytworem fantazji literackiej. Bandy zbójnickie były zasilane bynajmniej nie kryminalnym elementem, zmuszonym do uchodzenia w góry i zdobywania sobie wszelkimi sposobami środków do życia, a zato oddziały powstańcze czy partyzanckie w tyglu swej idei, swej atmosfery przerabiały nawet element na pozór kryminalny. Na pozór mówię, gdyż go do zbrodni zwykle pchnęła nędza, walka o byt, czasem chęć zemsty za krzywdy popełnione na rodzinie. Granica między grupami zbójeckimi a oddziałami jakiejś partyzantki stale się zaciera, czego dowodem były dzieje hajduków serbskich. Jak pierwiastki te ze sobą się mieszają, tego dowodem jest interesująca relacja gen. Jeziorańskiego, który w r. 1864 będąc osadzony w Kufsteinie rozmawiał tam z osadzonym za rozboje „bétyárem" (zbójnikiem) węgierskim Sándorem Rózsą. O rozmowie z Rózsą pisze Jeziorański, że „chaotyczne jego poglądy i pojęcia w kwestiach społecznych zdumiewały ekscentrycznością. Dziwił się jak ludzie mogą ustrój obecnego społeczeństwa cierpieć — nienawiścią pałał do niego". Musiały to być bardzo radykalne poglądy, skoro zdumiewały nawet demokratę Jeziorańskiego...

IV

Ale problem zbójnicki poza swym tłem historyczno-społecznym ma też swój aspekt literacki. Jest ciekawym przykładem oddziaływania nie tylko pewnego stałego wątku historycznego poprzez folklor na literaturę, ale i odwrotnie. Wątek ten w literaturze sięga romantyzmu.

Negującej rzeczywistość schyłku feudalizmu i wschodzącego kapitalizmu, szukającej natchnienia w fantazji, wśród ludu prostego, w pierwotności i egzotyce umysłowości romantycznej, wspaniale odpowiadał dostarczony przez tradycję ludową typ szlachetnego zbójcy. Jego pogarda dla świata możnych szlachetność serca przeciwstawiona egoizmowi i okrutności „panów", nawet ich pozorny brutalizm kryjący nieznane warstwom panującym wartości serca, wszystko to doskonale nadawało się do „szokowania" przez romantyków ich klasycznych przeciwników i stojącego za nimi konserwatywnego społeczeństwa. Wprowadza więc „Zbójców" Schiller. Fra Diavolo, Rinaldo Rinaldini modni są w powieści, w operze. Nie mogło tu więc zabraknąć i karpackich zbójników.

Z mroków tradycji ludowej na światło dzienne wyprowadzają Janosika poeci słowaccy z XIX w.: Chalupka, Botto, Zaborský, Kral. Ale ci poeci słowaccy czerpali nie tylko z legendy, ale i z przekazów źródłowych o prawdziwym Janosiku. Przypomniano sobie o „fassio Janosikiana" w archiwum sądowym w Św. Mikulaszu, zbierano wiadomości o prawdziwym Janosiku. Oczywiście w wyobraźni słowackich poetów, których romantyzm oparty był na podłożu narodowym, i Janosik musiał przybrać specyficzne barwy. W ich utworach mamy więc nową postać Janosika będącego symbolem walki słowackiego chłopstwa z węgierskimi panami. „Więzień z Likawy" urasta do rozmiarów męczennika będącego ucieleśnieniem męki i niedoli słowackiego ludu; opowieści o „hornich chlapcach", o bohaterskich czynach Janosikowej drużyny służą teraz do krzepienia ducha słowackiego w ciężkich dlań chwilach niedoli. Takim pozostał Janosik w słowackiej literaturze, na tejże tradycji oparty był słowacki film o Janosiku; rzecz ciekawa, że mało zresztą wartościowa, raczej do cowboysko-sensacyjnej literatury należąca, nowsza powieść Hruszowskiego o Janosiku nie odbierając mu jego słowacko-narodowego kolorytu łączy go z działalnością „kuruców" Franciszka Rakoczego II.

W Polsce postać Janosika znano tylko z opowieści góralskich zbieranych przez Stęczyńskiego, Wóycickiego czy Łapczyńskiego. Romantyzm polski — poza próbami Goszczyńskiego — nie znał zagadnienia zbójców karpackich. Sięgnął w nie głęboko dopiero Tetmajer. Znał on piosnki o Janosiku, zapoznał się ze słowackimi o nim utworami, musnął i po historycznym Janosiku. Jego Janosik z pierwszych utworów („Jak Janosik tańczył z cesarzową") to jeszcze Janosik podobny do Janosika Botty czy Zaborskiego, Janosik, który „odbierał możnym i ubogim dawał z możnych uzbierany łup", a „słowackim stał dziedzinom jak słoneczny słup". Ale to wyobrażenie Janosika nie mogło wystarczyć polskiemu poecie marzącemu o eposie dla Podhala.

Tu leży też źródło nowego Janosika, który znalazł ucieleśnienie w „Janosiku Nędzy Litmanowskim". Z prawą poety korzystając, zerwał Tetmajer z całą tradycją Janosikową, przekreślił historycznego Janosika, przeniósł go na wiek XVII do Polski, połączył to wszystko z tradycjami o zbrojnych porywach górali w obronie króla za najazdu szwedzkiego, dał nową postać Janosika „hetmana zbójeckiego", stworzył nową legendę. I tak jak urobiony przez Botto czy Chalupkę Janosik przenikał do świadomości Słowaków, mieszając się tam z dawnym ludowym jego wyobrażeniem, tak i z kolei nowa, przez Tetmajera urobiona postać Janosika wsiąkać zaczęła w świadomość ludu góralskiego, koło dawnej tworząc zupełnie nową legendę. Ten tetmajerowski Janosik rychło też zawędrował pod strzechy, tworząc podłoże do nowych wątków literackich (Galica).

Ale równocześnie, kiedy w literaturze postać Janosika odbiegać zaczęła nie tylko od historii, ale i od tradycji ludowej, kiedy wsiąkanie literackiej postaci zbójników karpackich w lud tworzyło podłoże dla tworzenia się nowej legendy, to autentyczna, prawdziwa postać Janosika bynajmniej nie przestawała budzić zainteresowań. Historycy słowaccy Sochań i Houdek badali stan źródeł nad Janosikiem; ogłoszono jego metrykę chrztu, przetrząsano „fassio Janosikiana". Zadanie zgromadzenia i opracowania całego materiału historycznego wiążącego się z Juro Janosikiem z Terchowej przypadło jednak nie Słowakowi, ale młodemu polskiemu uczonemu, przedwcześnie w czasie obecnej wojny na uchodźctwie zmarłemu dr Józefowi Krzyżanowskiemu, autorowi „Procesu Janosika" (Kraków, 1936). Polski uczony zbadał wszelkie odnoszące się do sprawy akta i zapiski sądowe i rzuciwszy sprawę tę na tło ówczesnych stosunków społecznych, dał nam „odbrązowionego" Janosika. W świetle przewodu sądowego znikły oczywiście wszystkie legendy, którymi tradycja upiększyła zbójeckie jego czyny. Ukazała się zwykła postać raubrittera pozbawionego nimbu, ale zato rzeczywistego, prawdziwego, z krwi i kości.

Aliści nie tu jeszcze koniec losom „Janosikowego mitu". Bo okazało się teraz, że „odbrązowiony", „uziemiony", odarty z legend, historyczny Janosik, choć pozbawiony całego romantycznego kolorytu, nie jest dziś ani trochę mniej ponętnym tematem dla lutni poetyckiej od tamtego, rycerskiego Janosika. I nie gadka ludowa, nie legenda zacierająca prawdziwy obraz człowieka, ale tamta, odgrzebana przez pracowitego krakowskiego prawnika, surowa opowieść o autentycznym Janosiku, postrachu spokojnych kupców i bogatych „fararów", wyzierająca ze stert akt sądowych i fascykułów „sprawy Janosika", posłużyła za kanwę dla St. R. Dobrowolskiego do jego poematu „Janosik z Tarchowej" (1937). Poeta polski pogłębił tło historyczno-społeczne, uwydatnił przeciwieństwa klasowe, spróbował zrekonstruować podłoże historyczne. Zbanalizowanej już postaci dał nowe barwy. Mit Janosikowy powtarza się więc i odradza w coraz to nowych postaciach.

V

Janosik jest dla nas tylko jednym z przykładów metamorfoz pewnego mitu. Nie jedynym zresztą. Z tradycji do literatury zawędrował Ondraszek, zbójnik cieszyński z XVIII wieku, opiewany ostatnio przez Kossak-Szczucką („Wielcy i mali") czy Morcinka. Kilka lat temu w świecie literackim Węgier głośna była dyskusja dookoła wspomnianego już przez nas wyżej węgierskiego „bétyára" z XIX wieku Sandora Rózsy, w nowej postaci ostatnio przedstawionego przez wielkiego pisarza demokratycznych Węgier, Zygmunta Moricza. Jak nęcący jest temat zbójnicki, tego dowodem jest świetne jego ujęcie przez znanego czeskiego pisarza Olbrachta (Zemana) w powieści o podkarpackim zbójniku, Szuhaju. Szuhaj nie jest bynajmniej kreacją Olbrachta, i tniał on autentycznie, działał w latach po poprzedniej wojnie na terenie Rusi Podkarpackiej. Czeski autor przedstawia go też na tle prawdziwych warunków, podłoża społecznego, kryzysu gospodarczego, ciemnoty ludu, wyzysku jego przez karczmarzy i spekulantów, przez Rumunów okupantów czy administrację czeską. Walki Szuhaja z czeską żandarmerią, ucieczki jego (przy pomocy ludności wiejskiej) przed pościgiem — czytamy jak z aktualnego reportażu dziennikarskiego. Ale na tle tych bijących swym realizmem opisów autor wplata wszystkie dawno nam znane stare wątki legend o zbójnikach i rzuca je teraz na tło innego, tu w Karpatach Wschodnich przed dwustu laty działającego zbójnika, słynnego Dobosza, który jak teraz Szuhaj, tak kiedyś też był postrachem wszystkich możnych całej okolicy, pandurów cesarskich, żołnierzy wojewody Potockiego ze Stanisławowa czy hajduków hospodara z Jass, który też kiedyś rabował bogatych, aby obdarzać biednych i stał się bożyszczem uciskanego ludu, aby kiedyś zginąć — tak jak i po 200 latach Szuhaj — za zdradą niewiernej kochanki...

VI

Mit zbójnicki wciąż więc żyje. Wypowiedź Jalu Kurka dowodzi dalszej żywotności tego nieśmiertelnego wątku. Wędruje on wciąż z legendy do literatury, aby znów wrócić pod inną postacią do folkloru. Podłożem jego żywotności jest jednak zawsze jego treść społeczna. Zbójnik i jego przygody, to ucieleśnienie marzeń mas chłopskich o walce z uciskiem, ze znienawidzoną administracją. W czynach zbójnika, w jego polityce w stosunku do chłopów i panów, masa chłopska widziała coś jak dążenie do wyrwania ludu z pęt niewoli i zapewnienia mu społecznej sprawiedliwości. Tutaj odnajdywała swoje ujście wieczna ludzka tęsknota do prawdy, do dobra, do równości wszystkich ludzi, do prawdziwej sprawiedliwości. To jest źródło żywotności „mitu zbójnickiego".

Jan Reychman

Prawda w oczy

Paweł Hertz zamieścił w „Szpilkach" poemat, zakończony kunsztownie rymowanym czterowierszem:

„Więc, satyryku, zdzieraj strupki
Z naszego czasu. Śmiało lej.
Błogosławieństwo masz Osóbki
I od Matuszewskiego glejt".

Cenne wyznanie. Jeśli zdanie to odwrócić (co według prawideł logiki — można zrobić zawsze bez uszczerbku dla prawdziwości myśli), okaże się, że gdyby ob. Hertz nie miał błogosławieństwa od Osóbki i glejtu od Matuszewskiego, lałby nieśmiało, albo — co gorsza — nie lałby w ogóle. Innymi słowy, gdyby nie liczył na poparcie rządu, pisałby satyry bardzo tchórzliwe albo nie pisałby ich wcale.

Śmiałość satyry nie powinna jednak zależeć od błogosławieństwa rządzących, lecz od wiary w słuszność swoich przekonań. Jeśli rząd jest po naszej stronie, tym lepiej. Ob. Osóbkę cenimy nie dlatego, że jest premierem, lecz że uważamy go za reprezentanta postępu i sprawiedliwości społecznej. Rozróżnienie bardzo istotne.

Nasi odważni satyrycy zajmują się na razie tylko zdzieraniem strupków w rodzaju fałszywej pisowni nazwiska „Truman", które — według opinii uczonych lingwistów ze „Szpilek" — powinno się pisać Trooman. Czyż jednak nasi bohaterscy satyrycy nie byliby na tyle uprzejmi, by rzucić od czasu do czasu okiem na świat, który ich otacza? Czy naprawdę dostrzegają w nim tylko błędy drukarskie? Czy jest naszym heroicznym satyrykom wiadome, że w jednym z radomskich gimnazjów dyrektorka zwróciła się do grona nauczycielskiego z następującą kwestią: „Proszę państwa, do miasta naszego najechała kupa Żydów. Musimy się zastanowić, czy będziemy dzieci ich przyjmować do szkoły?" Że w innym gimnazjum przeciw nauczycielowi-ateiście, który nie chciał pójść z uczniami do kościoła, ogłoszono bojkot? Że w Komisariacie Milicji Łódzkiej odmawia się meldowania niedobitków Warszawy, ponieważ nie mają oni kennkart, lecz tylko dowody pracy, wyrobienie zaś nowego dowodu osobistego kosztuje obecnie 300 zł., czyli prawie połowę ich pensji?

Ale gdzież naszym światoburczym satyrykom zajmować się takimi drobiazgami? Mają ważniejsze kłopoty: ot, np. „Odrodzenie" zamiast „na Tłomackiem" pisze „na Tłomackiej" Czy to nie oburzające? Jestem pewny, że i w moim artykule dopatrzą się braku kropek Nie stawiam ich umyślnie Niech i oni mają temat

Artur Sandauer

SPROSTOWANIE

W artykule Zbigniewa Bieńkowskiego „Pierwszy ogólnopolski zjazd literatów" („Odrodzenie", nr 44) zacytowane zdania z referatu J. Przybosia o sztuce narodowej winny brzmieć:

„Spór na temat, czy wielka sztuka z natury swojej jest też ideologicznie postępowa — zdaje się — rozstrzygnięty pozytywnie, — że tak. Że wielki pisarz zawsze jakoś (nieraz wbrew swoim poglądom politycznym) był nosicielem postępowych idei społecznych, a nigdy zacofaniec nie był wielkim pisarzem".

CELINA BOBIŃSKA

O właściwe stanowisko

Są kwestie, w których słowo pisane zawsze ma echo społeczne i przestaje być wyłączną sprawą autora. Słowo niesłuszne, nieobiektywne ciąży na opinii społecznej, jeśli opinia je przemilczy. Dlatego nie należy przemilczeć artykułu M. Wionczka „Narodziny trzeciej republiki" („Odrodzenie", nr. 38). Artykuł ten zrodził się z kilkudniowych wywczasów Wionczka w gościnnej Pradze obserwowanej w znacznej mierze z okna kawiarni.

Chcę zabrać głos, aby zaznaczyć, że twierdzenia autora, iż „postawa moralna, którą w całej Europie nazywano quislingowską, była tu jednak powszechniejsza niż gdzie indziej", iż „w decydujących chwilach Czechom zabrakło imponderabiliów" i dlatego Beneszowi po nocach spać chyba nie daje troska o „odbudowę aktywu moralnego" Trzeciej Republiki, iż „rodzi się mit rewolucyjnej Pragi", gdyż „trzeba wylegitymować się z bohaterstwa" — są wybitnie subjektywne i akcent zawarty w nich razi polską opinię społeczną.

Artykuł cechuje przykry ton lekceważenia dla zbyt „realnie myślących", niedostatecznie bohaterskich Czechów, którym autor próbuje z poczuciem wyższości wytknąć drogi „odmłodzenia psychicznego".

Okazuje się, że Czesi mają zbyt mało gruzów w Pradze, abyśmy mogli rozmawiać z nimi jak równi z równymi. Wydawałoby się to rzeczą niewiarogodną, autor jednak pisze z politowaniem: „cóż bowiem znaczyć może sto dwadzieścia godzin walki Pragi z okupantem wobec lat Leningradu, miesięcy Tobruku, tygodni Warszawy".

Czyżby święte gruzy Warszawy już miały stać się odskocznią dla przyjmowania pozy „narodu wybranego"? Czy będziemy wznawiali ton, który nam przyniósł tyle szkody w stosunkach z różnymi narodami, a w szczególności z narodami słowiańskimi?

W obu krajach, i u nas i w Czechosłowacji, do głosu przyszły demokratyczne warstwy ludowe. Przechodzą one do porządku nad starymi urazami, dążą do przyjaźni dwóch bratnich narodów. Zdecydowani jesteśmy rozwiązać nasze pograniczne spory z Czechami w spokojnej atmosferze wzajemnego zaufania.

Lecz artykuły w rodzaju reportażu M. Wionczka bynajmniej nie sprzyjają wytworzeniu odpowiedniego klimatu w stosunkach polsko-czeskich. Postawa wyższości ugruntowana jest u naszego autora historycznie. Wybrał on najbardziej czuły punkt narodowej ambicji Czechów, pisząc:

„Ale potem była tragedia Białej Góry i procesy historyczne, które z narodu Żyżków i Husów uczyniły dzisiejszych Czechów. Między tamtymi Czechami bohaterskimi i dzisiejszą Czechosłowacją „realnie myślących" ludzi historia zerwała wszystkie związki, poza językowymi".

Co byśmy powiedzieli, gdyby nam tak samo energicznie zaprzeczano prawa uważać się za potomków Chrobrego i Krzywoustego?

A przecież, cóż miało większy wpływ na współczesne społeczeństwo niż wielki przewrót społeczny znany pod mianem husytyzmu? Co prawda, dzisiejsi Czesi nie przypominają fanatycznych Taborytów. Ale na tej podstawie moglibyśmy zarzucić teraźniejszym Anglikom, narodowi najbardziej skłonnemu do kompromisów politycznych, że przestali być potomkami ludu, który w wieku XVII ścinał głowy królom.

Niemniej jednak, w takiej samej mierze jak Anglia zawdzięcza w dużym stopniu swoje najstarsze w Europie społeczeństwo burżuazyjne, swoją potęgę przemysłową i handlową owej rewolucji XVII wieku, tak samo wydarzeniom XV wieku Czesi zawdzięczają, iż byli jedynym spośród narodów słowiańskich krajem o wysokim stopniu uprzemysłowienia, w którym tylko czwarta część ludności uprawia rolnictwo, chłop dawno już jest faktycznym posiadaczem ziemi, demokracja burżuazyjna ma głębokie korzenie i stare tradycje.

Różne są drogi dziejowe narodów. Społeczeństwo polskie, jak i inne społeczeństwa słowiańskie, było jeszcze w znacznym stopniu w feudalnych powijakach, gdy Czechy stanęły w płomieniach wielkiej chłopsko-mieszczańskiej antyfeudalnej rewolucji, jednocześnie rewolucyjnej reformacji przeciw katolicyzmowi i walki narodowej przeciwko zalewowi niemczyzny. Wtedy to, gdy w Taborze rozlegały się żądania zniesienia własności i ustanowienia równości społecznej, a armie czeskich mścicieli ludowych szerzyły postrach w cesarstwie, cofnęliśmy się przed ludowym i radykalnym społecznie charakterem czeskiego postępu. Jagiełło odrzucił dłoń wyciągniętą. Ominęliśmy wielką szansę historyczną i przyczyniliśmy się do klęski husyckich Czech. Skutki wojen husyckich przeorały wieki tak gruntownie, że dadzą się porównać tylko ze skutkami wielkich europejskich rewolucji. Społeczeństwo czeskie, które przeszło przez ogień walki społecznej, będącej jednocześnie i walką z niemczyzną, nabrało już innych proporcji społecznych niż społeczeństwo nasze, — zwolnione zostało od przewagi magnatów, która zaciążyła na naszym narodzie. Wzrosła waga gatunkowa nowych warstw, przedsiębiorcze mieszczaństwo doszło do głosu.

W tym sensie Czechy piętnastowieczne stworzyły poniekąd elementy społecznych podwalin pierwszej republiki, daleko bardziej postępowej i demokratycznej niż sanacyjna struktura strasząca widmami feudalnej wielkości. Dlatego rząd czechosłowacki nie zawahał się wejść w trwałe związki przyjaźni i wzajemnych zobowiązań ze Związkiem Radzieckim wtedy, gdy sanacja, wbrew głębokim dążeniom i wyraźnej woli narodu polskiego, paktowała z hitleryzmem.

W Polsce reakcja magnacka, archaizm historyczny, pleśń naszego nieprzewietrzonego domostwa była od wieków do naszych dni zawsze powracającą negatywną siłą. Kryła ona swoją reakcyjną i antynarodową treść pod pseudopatriotycznym frazesem: „Ojczyzna — to my".

Czeska reakcja, uległa wobec Niemców, pomagająca im germanizować własną ojczyznę, była bardziej prozaiczna, nie przykrywała swej burżuazyjnej transakcji z wrogiem tromtadrackim gestem.

I w drugiej wojnie światowej różniły się metody i sposoby, którymi reakcja obu narodów przeciwdziałała wyzwoleńczej walce swych ludów. Hacha cynicznie i otwarcie służył Niemcom. Nasi reakcjoniści, których zawierucha wojenna wymiotła z kraju, nie jeździli do Berlina, nie przekazywali swego kraju Rzeszy. Dzwonili szabelkami, krzycząc znowuż: „Ojczyzna, to my". Ale powstrzymywanie tysięcy gorących patriotów hasłem „trwania z bronią u nogi", walka z polską demokracją, osłabianie frontu antyfaszystowskiego krecią robotą przeciwko ZSRR — wszystko to w rozgrywce międzynarodowej było na rękę faszyzmowi. Toż samo kapitulacja Bora, który wolał Niemców niż spowiedź przed własnym narodem.

Autor odmawia Czechom prawa do szczycenia się ich powstaniem, gdyż walka na barykadach i przelew krwi trwały tylko 126 godzin i powstanie skończyło się zwycięskim wkroczeniem Armii Czerwonej. Czy gruzy Warszawy i setki tysięcy pogrzebanych pod nimi dają nam prawo bagatelizować zbrojny wysiłek Czechów dlatego, że rozpoczął się w odpowiedniejszym momencie?

I u nas walka mogłaby kosztować dużo mniej krwi i być uwieńczona wolnością, gdyby nie stała się narzędziem politycznej rozgrywki. Czcimy tysiące bezimiennych bohaterów, przeklinamy tragiczne szafowanie krwią i wielowiekowym dorobkiem narodu. Ale czy mamy moralne prawo mówić: „My mamy dużo gruzów — jesteśmy narodem bohaterów, wy macie mało gruzów — jesteście narodem filistrów". Jesteśmy demokratycznym narodem o wielkiej przeszłości, nie do twarzy nam szlachecka buta.

Nie znajdziemy w dorobku naszej walczącej demokracji ubiegłego wieku, za której spadkobierców uważamy się, izolującej nas od innych narodów postawy „narodu wybranego". Worcell i Traugutt, Dembowski i Jarosław Dąbrowski łączyli dumę narodową i niezachwianą wiarę w hart Polaków z szacunkiem dla wysiłków innych narodów i ich dróg rozwojowych, wytyczonych przez warunki i tradycje.

W latach walki z faszyzmem poczucie solidarności wśród mas ludowych wszystkich narodów niebywale wzrosło. Lud polski głęboko wierzył, że tam, gdzie toczy się walka z hitleryzmem, w Rosji, Jugosławii, czy Francji, rosną dziesięciokrotnie nasze siły. I doświadczenie tych lat nauczyło świadomych demokratów, że nie ma „narodów quislingów", narodów „pierwszego i drugiego gatunku", lecz że wśród każdego narodu z wyjątkiem ZSRR była reakcja paktująca z wrogiem lub idąca mu faktycznie na rękę, bez frazesu, czy z frazesem, który kosztował wiele krwi. Masy tych narodów dążyły do wyzwolenia wbrew tym, co wieszali im kule u nóg. Haniebnego nazwania „quisling" nikt nie przenosi też na naród norweski, którego bohaterska postawa w walce z Hitlerem i Quislingiem jest światu znana.

Każdy naród walczy na swój sposób, jak mu dyktuje jego przeszłość, tradycja, układ ekonomiczny i narodowościowy, warunki geograficzne.

Monachijska transakcja zagranicznych „przyjaciół" narodu czeskiego z Hitlerem nie stwarzała perspektyw dla walki. Pamiętamy jednak dobrze, że w owych tragicznych dla Czechów dniach, naród, żołnierz stojący pod bronią rwał się do walki.

Sparaliżowała ją nie tylko zdrada czeskiej reakcji, lecz i niezdecydowana powolność uczciwych wodzów, którym przecież wyciągnięto rękę pomocy ze wschodu, a którzy zmarnowawszy decydujące dni, ustąpili.

I nadal powolność, niechęć do aktywnej walki „ojców narodu" w Londynie, na których zwrócone były oczy Czechów, hamowała zorganizowany opór na wielką skalę. A jednak szeregowy człowiek w Czechach walczył.

W październiku 1939 roku, gdy Polska jeszcze krwawiła, w Pradze wybuchła żywiołowa walka zbrojna.

Potem było zabójstwo Heydricha, dokonane w biały dzień na szosie praskiej, solidarne dochowanie tajemnicy przez tysiące torturowanych ofiar. Czesi mają swoje Lidice. Cały świat zna bohaterską postawę chłopów tej zgładzonej wsi. Wie, jak po rozruchach studenckich setki praskich studentów szły mężnie na śmierć. Małe Czechy zapłaciły za śmierć kata 250.000 zamordowanych i uwięzionych w obozach. Wiadomo, że w Czechach zrodziły się metody pracy powolnej, zorganizowany sabotaż w fabrykach.

Jeśli ogólny wkład małych Czech do zwycięstwa nad Niemcami jest mniejszy niż innych narodów, to nie mamy prawa zrzucać odpowiedzialności za to na szeregowego czeskiego patriotę — tego z Pragi i tego z Lidic. Nie możemy piętnować ludu, który jak wiele innych ludów Europy wykazał w tym wielkim i krwawym egzaminie większy patriotyzm i zdecydowanie niż jego rząd.

Autor zwiedza Pragę od fasady „beztroskiego, kawiarnianego żywota", przepełnionych kin i kawiarń i widzi w niej tylko mieszczaństwo. „Ulica wykonywa swe obywatelskie obowiązki w granicach potrzebnych, aby żyć, a poza tym chodzi do restauracji, cukierni i kin".

Jak zareagowalibyśmy my na takich obserwatorów naszej stolicy? Dla człowieka złej woli starczyłoby w Warszawie cukierni i kawiarni, żeby posądzić naród o „beztroską", kawiarnianą wegetację. Mógłby on nie zauważyć tętna społecznego i politycznego życia, odbudowy Warszawy, ofiarności robotników elektrowni i gazowni.

Cobyśmy powiedzieli o obrazie Polski współczesnej, którego barwy zaczerpnięto z obliczeń ilości spekulantów i szabrowników, oraz wiadomości o pogromach antyżydowskich i haniebnych bratobójstw dokonywanych przez naszą reakcję!

Nie chcemy takich „życzliwych" gości i przyjaciół, więc nie bądźmy sami takimi w cudzym domu. Przestańmy zwiedzać Czechosłowację z przeświadczeniem o naszej wyższości. Przypomnijmy sobie raczej nasze podobne losy.

Narody mogą się niejednego wzajemnie nauczyć. My np. od Czechów właściwego stosunku do naszych rodaków-repatriantów.

Wiemy, że w podróży do ojczyzny spotykają się oni w Czechosłowacji z serdecznym przyjęciem i zorganizowaną pomocą. Wiemy, że nasi działacze, uczeni, pisarze otrzymywali w obozach paczki z Czechosłowacji od nieznajomych. Za tę pomoc, dawaną dziesiątkom tysięcy Polaków, zaciągnęliśmy dług wdzięczności, której nie powinny mącić spory z Czechami, jak nie przeszkadzają one Czechom widzieć w repatriantach polskich znękanych pobratymców. Tu pycha narodowa Wionczka budzi niesmak, gdy twierdzi, że pomagając naszym repatriantom, Czesi spłacają tylko... dług historyczny za to, iż polscy emigranci, „co deptali praski bruk", „obudzili Czechów z 200-letniego letargu", że „gdyby nie ci XIX-wieczni polscy eksulanci i podróżnicy... nie byłoby ani Pierwszej ani Trzeciej Czechosłowackiej Republiki". Wielki czas wyrzucić na śmietnik egocentryzm narodowy wraz z innymi wypłowiałymi akcesoriami przeszłości. Stworzyliśmy czeskie odrodzenie, czeską kulturę i czeską republikę tak, jak zrobiliśmy za Węgrów i bez ich udziału węgierską rewolucję 1849 roku, jak Skrzynecki przegrywał za Włochów piemonckie kampanie itd.

Mamy teraz własny dom, przez nas budowany i widać jak podnosi się wielki i wolny po tylu katastrofach. Nie będziemy zapożyczać tępoty od ciemięzców. Naród, który odbył rewolucję husycką i stworzył oraz utrzymał kulturę narodową, nie rozwijał się dzięki obcym zastrzykom. Nie zgodzimy się, jeśli Czesi, idąc w ślady Wionczka, będą twierdzili, że stworzyli nas, dając nam w X wieku chrześcijaństwo, że gdyby nie Amos Komensky i Bracia Czescy — wygnańcy, co „deptali nasze bruki", nie byłoby naszego odrodzenia i reformacji.

Nie ma miejsca na uczciwy, demokratyczny patriotyzm tam, gdzie rozróżnia się narody pierwszego i drugiego gatunku. Uczciwy, demokratyczny patriotyzm polski musi się łączyć z szacunkiem dla innych narodów, dla ich dorobku dziejowego. Nuty szowinistycznego lekceważenia mało mają wspólnego z takim patriotyzmem.

Naród nasz wierzy, że lud czeski nie pochwala gwałtów reakcjonistów czeskich na Zaolziu i że ekscesy mętów społecznych nie odpowiadają intencjom narodu czeskiego.

Zgrzyt szowinistyczny razi. Stokroć bardziej rażą i oburzają hałaśliwe żądania „przywrócenia Czechom" ziem zamieszkałych przez Polaków.

Wierzymy, że naród czeski położy kres wybrykom reakcji czeskiej. Wierzymy, że to, co nas łączy, weźmie górę nad tym, co nas dzieliło.

Dlatego jesteśmy wrogami wszystkiego, co staje temu na drodze.

Celina Bobińska

Nauka, miłość, głód

Człowiek nauki taki, jakim był. Pamiętniki profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Fryderyka Hechla. Wydał z rękopisu oraz zaopatrzył przedmową, przypiskami i skorowidzem Władysław Szumowski. Tom. I. Młodość, studia i podróże 1794—1834. Kraków, (1939); str. XIX i 1 nl i 268 i 4 nl. Tom II. W wolnym mieście Krakowie 1834—1846. Kraków (1939); str. 467 i 1 nl i 1 ilustr.

Losy zrządziły, że odsłonięto przyłbicę życiową Hechla dopiero w 76 lat po jego smierci, a szerszej publiczności udostępniono jego wspomnienia jeszcze w 18 lat później. Bo dopiero w bieżącym roku ukazały się na półkach księgarskich dwa pierwsze tomy pamiętników Hechla, profesora historii medycyny, medycyny sądowej i policji lekarskiej w pierwszej połowie XIX wieku, jednego ze znakomitych erudytów Uniwersytetu Jagiellonskiego.

Pamiętniki mają znaczenie wtedy, gdy są szczere, a sądy w nich zawarte wydawane są na podstawie własnych przeżyć autora. Te właśnie cechy mają pamiętniki Hechla. Występuje tu „człowiek nauki taki, jakim był" bez maski, nie zwracający uwagi na oczy innych. Zadziwia nas nieraz, a czasem obrusza otwartość, z jaką mówi np. o swych źródłach utrzymania w Niemczech. Raz jest na utrzymaniu Straszewicza, ziemianina litewskiego, z którym podróżował po Włoszech, Francji, Anglii, Niemczech, potem objada biednego teologa berlińskiego Rheinwalda, z kolei rodzinę Wimmel, w końcu opuszczoną przez męża samą panią Wimmel, późniejszą swoją żonę. „Miałem darmo (u Wimmlów) stół, a niekiedy pani Wimmel wspierała mnie w sekrecie kilkunastu talarami, więc utrzymywałem się wprawdzie bardzo skromnie, ale uczciwie". Zadzierzgnięta nić przyjaźni między Wimmlową a Hechlem rychło przetworzyła się w żywiołową miłość, bez której oboje kochankowie żyć już nie mogli. Toteż słowa oburzenia, jakie rzuca Hechel na Wimmla, napawają nas odrazą, a już cynizmem były gratulacje złożone panu Wimmlowi z powodu urodzin córki, która była dzieckiem Hechla. Przyznać trzeba, iż Hechel opiekował się Helenką, kochał ją i w końcu uczynił zadość zobowiązaniom, żeniąc się z rozwiedzioną Wimmlową. Oto jedna z tajemnic, dlaczego autor cierpiąc biedę, jadając na kolację chleb i popijając piwem w oberży berlińskiej, trzymał się uporczywie Berlina. Nie opuszcza Berlina, gdzie prowadzi życie „czysto naukowo-romansowe". Bo też przez pamiętniki, które niekiedy są nudne przez swoją drobiazgowość, niekiedy fascynujące i emocjonujące, przewijają się trzy główne motywy: nauka, miłość, głód.

Żarłoczna chęć zdobycia wiedzy wysuwa się w pamiętnikach na plan pierwszy. Wydaje się czasem, że Hechel cierpi na kompleks niższości i rozwiązanie jego widzi w nauce. Na przekór przezwiskom, rzucanym mu w dzieciństwie przez rówieśników, synów adwokata: „głupi siodlarczuk", „nieumiejętny niemczyk", pnie się Hechel na wyżyny wiedzy. „Chęć uczenia się tego co i oni i wyrównania im, jeśli nie w urodzeniu, to przynajmniej w nauce" powoduje młodym synem ubogiego rymarza, Niemca z wyspy Ozylii, osiadłego w Wilnie.

Szedł właściwie drogą samokształcenia. Szkółka parafialna bowiem przy kościele ewangelickim w Wilnie, gdzie rozpoczął edukację, nie miała zbyt dobrej reputacji, skoro autor pisze, że „z książek wtenczas moralności uczyliśmy się, gdyż jej ani w rządzie naszym ani w nauczycielach nie było". Zresztą w I. klasie było 200 uczniów, toteż sprawdzaniem wiadomości zajmowali się sami uczniowie, wzywając tych co nie umieli „de plagis". Wzywał też często Hechel, aż wreszcie sam został wezwany i dotkliwie pobity. I to był drugi (poza przezwiskami) uraz, który wpłynął na stosunek Hechla do ludzi. Był człowiekiem zamkniętym i cechował go ten rodzaj obłudy, który nazywamy gentlemaństwem. Szczery bywał tylko w swym pamiętniku.

Wyszedł z wileńskiej szkoły lekarskiej, która podówczas zabłysnęła na firmamencie nauki. Ówczesna klinika wileńska zachwycała urządzeniem, organizacją, czystością i „podobnej" — pisze Hechel — „w żadnej szkole europejskiej w moich długoletnich podróżach nie widziałem". „Najokropniejszą dziurą dla ostatnich żebraków" wydawała się w porównaniu z nią klinika krakowska. Po raz pierwszy w Polsce żąda Józef Frank, profesor kliniki w Wilnie, „dokładnego opisania choroby i diariuszów jak najsurowiej". Są to więc pierwsze historie choroby, bez których nie wyobrażamy sobie dziś żadnego szpitala. Ale Hechel nie poprzestał na studiach w rodzinnym Wilnie. Gdziekolwiek się znalazł, a podróżował ze Straszewiczem wiele, umiał znaleźć czas na zwiedzanie szpitali i nawiązanie kontaktu z luminarzami nauki. Pamiętniki ubarwione są bogatą mozaiką opisów zakładów leczniczych i naukowych, których część, jako zbyt nużąca, została przez wydawcę pominięta.

Czytelnik zaznajamia się z galerią dobrze uchwyconych charakterystyk uczonych tej miary co Laennec, odkrywca metody osłuchiwania, z którym Hechel odbył w Paryżu konsylium, Dupuytren, operujący spokojnie wśród krzyku cierpiącego, Lisfranc, chirurg zwalczający w życiu i na wykładach Dupuytrena, dr Itard, lekarz Institution des sourds et muets w Paryżu, Rust, chirurg w Berlinie, Berzelius, lekarz i chemik i inni. Styka się też z Gallem, twórcą kranioskopii, Broussais, o którym mówiono, że stosując upusty krwi i pijawki, więcej krwi przelał niż rewolucja francuska.

Słucha wykładów o magnetyzmie, które nie trafiają mu do przekonania. Uczęszcza do szpitala homeopatycznego, rychło jednak rozumie, że „cała ta nauka niezmiernie jest mechaniczną, żadnemu rozumowaniu, żadnym nowym pomysłom pola nie zostawuje", i w ostateczności więcej wierzy w przyjaźń homeopatów niż w ich naukę.

Dzisiejszego czytelnika, interesującego się historią medycyny, zadziwia trafność sądu. Warto przypomnieć, że Hechel żyje w czasach, w których obok znakomitych nowych zdobyczy medycyny (słuchawka, opukiwanie, narkoza), plączą się pomysły sekciarskie jak mesmeryzm, homeopatia, brusseizm itp. i trzeba było mieć dużo krytycyzmu, aby z poglądów i odkryć XIX w. wydobyć to, co istotne i wartościowe. Miał Hechel wszechstronne wykształcenie: chłonął równie łakomie wiadomości medyczne jak matematykę, filozofię, języki (władał 7 językami europejskimi), geografię, psychologię.

Był typem naukowca, któremu praktyka lekarska zupełnie nie odpowiadała. Próbował jej w Ucianie na Litwie, gdzie rekomendowali go na prawo i lewo tamtejsi ziemianie. Cóż, kiedy jeden z nich, uznając interes za swój pierwszy obowiązek, popierał po cichu znachora Piotruka i osadził go w swej karczmie, ciągnąc podwójny zysk: podatek od Piotruka i dochód z wódki sprzedawanej chorym. Taka konkurencja podkopała byt Hechla, którego żółć zalewała na widok chorych, jadących do znachora. Nic dziwnego, że wolał wojaż po Europie.

Pamiętniki czyta się jednym tchem, jakkolwiek Hechel jest gadułą. Styl Hechla obfituje w specyficzne wyrażenia, jak **ogrodowizny** (zamiast ogrody), **lekarnictwo, dopiero** (zamiast obecnie), **przepomniałem, rzemyki sposzywałem** i inne, co stanowi swoiste urozmaicenie tekstu.

Wydawca prof. Szumowski znowelizował pisownię i opracował tekst najstaranniej. Wszelako możemy mieć do niego pretensję, że „musiał zmienić formę, stępić ostrze wyrażeń i opuścić ustępy, które by zanadto raziły dzisiaj uszy czytelnika katolika".

Zdzisław Wiktor

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata miesięczna wynosi 21 zł., kwartalna 63 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

Kronika kulturalna ZSRR

Nowa powieść autora „Cementu" F. Gładkowa nosi tytuł „Przysięga". Jej bohater Nikołaj Szaronow, przedstawiciel robotniczej inteligencji, przeniesiony w czasie wojny z Niemcami wraz ze swą fabryką z Leningradu na Ural, poświęca wraz z całym kolektywem wszystkie siły pracy około produkcji wojennej. W powieści roztacza autor obraz środowiska robotniczego, typowego dla kolektywów radzieckich.

W ramach działalności Instytutu literatury światowej w Moskwie przygotowane zostało **akademickie wydanie pism Maksyma Gorkiego oraz monografia** o Gorkim pióra profesorów B. Michajłowskiego i E. Tagiera.

Gmach w Moskwie, w którym mieści się **muzeum Lwa Tołstoja**, uszkodzony przez bombę lotniczą w roku 1941, został odrestaurowany, a zbiory wywiezione podczas ewakuacji do Tomska i Taszkentu wróciły na swoje dawne miejsce i są znów dostępne dla zwiedzających. Dyrektorem muzeum jest wnuczka pisarza, Zofia Tołstaja.

Centralny teatr kukiełek w Moskwie wystawił sztukę „Mowgli", wedle „Księgi dżungli" Rudyarda Kiplinga. Kierownikiem artystycznym teatru jest Siergiej Obrazcow. W różnych miastach ZSRR czynnych jest obecnie 91 teatrów kukiełkowych dla dzieci.

W związku z 200-ną rocznicą urodzin Kutuzowa, której poświęca się w prasie i wydawnictwach radzieckich wiele uwagi, Centralny Teatr Czerwonej Armii wystawił sztukę K. Trieniewa „Kutuzow". Akcja rozgrywa się na polu pod Borodino, wśród partyzantów Płatowa, na Kremlu i w Fylach pod Moskwą, gdzie odbyła się historyczna narada przed opuszczeniem stolicy przez wojska rosyjskie w roku 1812. Z postaci historycznych występują prócz Kutuzowa (artyści A. Chochłow i G. Wasiliew), Bagration, Barclay de Tolly, Bennigsen, Napoleon (art. D. Sagał), Murat.

Teatr im. Gorkiego wznowił sezon tragedią A. Tołstoja „Car Fiodor Joannowicz". Najbliższą inscenizacją będzie druga część powieści dramatycznej tegoż autora „Iwan Groźny" („Trudne lata").

Nowy film K. Simonowa i A. Stolpera nosi tytuł „Dni i noce". Scenariusz oparty na powieści K. Simonowa, przedstawia historię batalionu kapitana Saburowa, który walczył pod Stalingradem. Właściwa akcja ogranicza się do ośmiu osób. Z nich cztery grają role głównych bohaterów.

We wrześniu bieżącego roku odwiedził Moskwę pisarz angielski John Priestley, który był obecny na przedstawieniu swej sztuki „On przyszedł", wystawionej w Teatrze Kameralnym.

W teatrze im. Wachtangowa wystawiono Wł. Sołowiowa „Wielki car" w inscenizacji B. Zachawy, z muzyką kompozytora N. Syzowa. W roli Groźnego I. Tołczanow. Odbywają się próby A. Gładkowa „Leningradzka szosa", w reżyserii B. Baboczkina. Z początkiem nadchodzącego roku wystawiona będzie „Elektra" Sofoklesa, planowana jeszcze za życia Wachtangowa.

W Moskwie **odbyła się sesja Akademii Nauk Pedagogicznych**, w której wzięło udział 900 uczestników. Obrady otworzył przemówieniem prezydent Akademii W. Potiomkin.

W wydawnictwie **literatury dla dzieci** („Dietgiz") ukazały się autobiograficzne „Opowiadania o życiu" znanego konstruktora samolotów A. Jakowlewa, rymowane opowieści dla młodzieży szkolnej S. Michałkowa, których tematyka zaczerpnięta jest z niedawnej wojny, S. Marszaka „Wojenna poczta", W. Katajewa „Syn pułku" i Prylezajewoj „Siódmoklasistki", powieść z życia szkoły. Książki te zostały nagrodzone na konkursie „Dietgizu".

Miesięcznik „Znamia" (1945, nr 8) przynosi **wiersz Louis Aragona** „Z księgi „Panopticum", w przekładzie z francuskiego M. Pawłowej. Aragon potrąca w poemacie o okrucieństwa oświęcimskie.

Wyszły drukiem **A. Herzena „Rzeczy wybrane"**. Książka zawiera artykuły, pisma, kroniki i utwory literackie w wyborze dokonanym przez B. Koźmina.

W czasopiśmie „Nowyj Mir" (1945, nr 5—6) wydrukowano „Opowiadania z obu kieszeni" **Karela Capka**. Przekładu z czeskiego dokonał T. Aksel.

Fragment dziennika lirycznego pt. „Płomień zwycięstwa" N. Asiejewa przynosi ostatni zeszyt miesięcznika „Nowyj Mir" (1945, nr 5—6). Część o Stalingradzie (V) nosi tytuł „Za nami ziemi więcej — nie ma".

Sylwetkę zmarłego w ubiegłym roku profesora **L. Mandielsztama** rysuje N. Papaleksi („Wiestnik Akademii Nauk SSSR", 1945, nr 4). Mandielsztam dokonał doniosłych odkryć w dziedzinie fizyki teoretycznej („efekt Mandielsztama" 1929—1930), wpływ kombinowanego rozpraszania światła (1928) — o praktycznej doniosłości, równej odkryciu analizy spektralnej Kirchhoffa i Bunsena. Fundamentalnym osiągnięciem Mandielsztama było rozwinięcie teorii nielinijnych wahań na podstawie prac Poincare-Liapunowa. Teoria ta prowadziła do nowych typów maszyn zmiennego prądu i wywiera wpływ na radiotechnikę, akustykę, mechanikę i elektrotechnikę. Mandielsztam był również twórczym talentem w dziedzinie matematyki.

Leningradzki oddział instytutu historii Akademii Nauk ZSRR przygotował do druku **trzeci tom „Prawdy Ruskiej"**, z komentarzem. Tzw. „piotrowska" grupa historyków przy instytucie historii Akademii Nauk ZSRR, pracująca nad dalszym ciągiem wydawnictwa „Pisma i akty cesarza Piotra Wielkiego", przygotowała do druku tom **korespondencji Piotra I** z drugiej połowy 1708 roku.

Profesor J. Warga w odczycie wygłoszonym na zebraniu instytutu światowego gospodarstwa i światowej polityki na temat „Problem przemysłowego cyklu po ukończeniu wojny", — dał **prognozę najbliższej przyszłości**. Zdaniem prof. Wargi w krajach, gdzie aparat wytwórczy utrzymał się w czasie wojny lub doznał rozbudowy, można po wojnie oczekiwać w ciągu 3—4 lat wzrostu koniunktury, która przejdzie w kryzys dłuższy niż w latach 1920—1921. Pogorszy on sytaucję w krajach europejskiego kontynentu, które w tym czasie będą jeszcze pozostawały w walce z inflacją. Po przezwyciężeniu powojennego kryzysu i stabilizacji przynajmniej części walut europejskich, zacznie się nowa fala cyklu przemysłowego. Będzie on podobny bardziej do cyklu lat 1929—1937 z jego swoistą depresją, niż do cyklu lat 1923—1929, kiedy zwyżkowa faza cyklu osiągnęła w niektórych krajach znaczną wysokość.

Związany z **jubileuszem 220-lecia Akademii Nauk ZSRR**, zeszyt „Wiestnika Akademii Nauk SSSR" (1945, nr 5—6), odznacza się piękną szatą i zawiera wiele zdjęć, sztychów, faksimiliów, ozdobnych inicjałów i gustownych przerywników z wydawnictw rosyjskich z XVIII-go wieku. Na treść składają się przemówienie prezydenta Akademii na uroczystym posiedzeniu sesji jubileuszowej, artykuły naukowe z dziedziny różnych dyscyplin i dział, poświęcony przeszłości Akademii, jej pierwszym wydawnictwom, bibliotece, drukarni, periodykom, archiwom i zbiorom rękopisów.

W dziale słowianoznawstwa instytutu historii Akademii Nauk ZSRR przygotowano do druku zbiór artykułów naukowych, poświęconych **przeglądowi zagadnienia genezy państw słowiańskich**. Wśród artykułów są: B. Grekowa „Powstanie państwa zachodnich Słowian", N. Dierżawina „Powstanie państwa bułgarskiego", J. Gotie „Powstanie państwa serbskiego", prof. W. Piczety „Powstanie państwa polskiego" i G. Gustinczicza „Walka narodu chorwackiego o państwowość". Autorzy dowodzą, że organizacja państw słowiańskich była wynikiem wewnętrznego rozwoju państw słowiańskich. Walka, którą wszystkie słowiańskie narody musiały prowadzić z zewnętrznymi wrogami, przyśpieszała proces kształtowania się państw i sprzyjała ich politycznemu wzmocnieniu. Trzeba zaznaczyć, że teza ta jest zgodna z wynikami dyskusji w polskiej nauce historycznej i pokrywa się z poglądem ustalonym w naszym dziejopisarstwie przez Stanisława Smolkę i Michała Bobrzyńskiego.

Slawiści radzieccy przygotowali do druku rozprawy z dziedziny **historii poszczególnych narodów słowiańskich**: „Serbia" — S. Bogojawlewskij, „Polska" (dwa tomy) — W. Piczeta, „Chorwacja" — D. Gustinczicz, „Czarnogóra" — B. Gorianow, „Czechy" — Z. Nejedły. Prócz tego prof. W. Piczeta ukończył studium pt. „Sprawa polska w stosunkach międzynarodowych". Polski ruch niepodległościowy lat 1830—1863 jest tematem pracy prof. G. Pisariewskiego i N. Dranicyna.

Rosyjskie pieśni XIX wieku, wydane przez prof. I. Rozanowa, zawierają teksty 300 pieśni. Utwory zebrane są w grupy: klasyczne pieśni ludowe, „rosyjskie pieśni", stanowiące skrzyżowanie poezji książkowej i ustnej ludowej, pieśni i romance znanych rosyjskich pisarzy XIX wieku, niezapomniane pieśni zapomnianych poetów i pieśniowe przeróbki utworów wierszowanych.

Wszechrosyjska Akademia Sztuk Pięknych w Leningradzie, na której czele stoi znany malarz, historyk sztuki i członek Akademii Nauk ZSSR Igor Grabar, od niedawna wydaje własne pismo pod tytułem „Za Socialisticzeskij Realizm" w formacie dużego, bogato ilustrowanego arkusza. Dwutygodnik informuje nader szczegółowo o działalności Akademii oraz zamieszcza stale artykuły o charakterze metodologicznym.

Prócz tego pisma periodycznego Akademia przygotowuje kilka poważniejszych wydawnictw. Profesorowie katedry sztuki rosyjskiej układają atlas, który będzie zawierał około 300 reprodukcji utworów malarstwa, rzeźby i architektury wraz z treściwymi objaśnieniami. W najbliższym czasie ukaże się tom pierwszy prac naukowych Akademii o urozmaiconej treści. Zainteresowanie budzą artykuły: „Problemat kompozycji" (prof. N. Punin), „Podłoże ludowe kultury artystycznej Rosji starożytnej" (prof. A. Guszczyn), a szczególnie w związku z dziejami sztuki w Polsce artykuł kustosza Ermitażu prof. M. Dobrokłońskiego „Scheda graficzna rzeźbiarza A. Lebrun". Chodzi tu o francuskiego rzeźbiarza André Jean Lebrun, którego z rekomendacji pani Geofrin sprowadził do Warszawy Stanisław August. Po roku 1795 Lebrun pracował na dworze petersburskim, a od r. 1804 został profesorem Uniwersytetu Wileńskiego (zmarł w Wilnie w r. 1811).

Zamieniona swego czasu w muzeum, siedziba finlandzka Ilii Repina „Penaty", barbarzyńsko zniszczona przez wojska hitlerowskie, obecnie staraniem Akademii odbudowuje się i wraca do dawnego stanu.

js

PRZEGLĄD PRASY

Trudności wydawnicze sprawiają, iż w sporach o dokonania literackie w okresie okupacji słyszany jest prawie wyłącznie głos o nich krytyczny. Skutek tej jednogłośności jest taki, iż upowszechnia się przekonanie, że w ogóle nie ma dobrej prozy, dobrej poezji. Wobec przymusowego, wywołanego brakiem papieru, milczenia pisarzy, których jedyną obroną może być wskazanie tej powieści, tamtego zbioru essayów, publiczność literacka z góry przeżywa rozczarowanie, co stwarza atmosferę nieprzychylną, dla literatury równie szkodliwą jak przesadne, bez pokrycia zaufanie. W tym sporze o literaturę współczesną ukazanie się **„Twórczości"** jest tym bardziej cenne, że głos jej jest głosem obrony. Jeżeli pierwszy zeszyt „Twórczości" przedstawił dokonania autorów znanych przed wojną, dokonania, które, mimo że nie posiadają charakteru szczytowych osiągnięć, świadczą o poważnej kontynuacji artystycznej, — to zeszyt drugi można uważać za prospekt literatury nowej. Proza Tadeusza Hołuja, Stefana Kisielewskiego, Wojciecha Żukrowskiego chociaż nie odnawia — w tym rozczarowanie jest usprawiedliwione — tego gatunku, to jednak posiada nieprzeciętne walory narracyjne. Znamionuje ją umiar, powściągliwość, to co zapewnia tzw. poziom i nawet trwałość. Brak jej natomiast śmiałości i odwagi ryzyka, co nadałoby jej znamię świeżości. Tym niemniej proza ta jest dostatecznie przekonywującym głosem obrony.

Drugi zeszyt „Twórczości" w dziale poezji przynosi „Świat, poema naiwne" Czesława Miłosza oraz utwory Paul Valéry'ego w przekładzie Juliana Rogozińskiego. Po świetnych przekładach A. Ważyka z Aragona w „Kuźnicy" przekłady Rogozińskiego stanowią drugi obiektywny wkład, odnawiający przerwane wojną nasze literackie związki z Zachodem. Można spodziewać się, iż „Twórczość", która ma wszelkie ku temu warunki, łączności z literaturami zachodnimi, a szczególnie z francuską, nada cechy trwałe.

Praca „O laickim tragiźmie" ukazuje Jana Kotta jako wybornego essayistę. Ten trudny i mało uprawiany w Polsce gatunek literatury doczekał się, sądząc po objawach (por. Kotta o Stendhalu w „Odrodzeniu" i o Tacycie w „Kuźnicy") swojej chwili. Jest to tym bardziej zwracające uwagę, iż essay uprawiany jest nie na marginesie twórczości, lecz sam dla siebie. Jest to również wymowne świadectwo obrony.

Najciekawszą jednak pozycją wrześniowego zeszytu „Twórczości" jest doskonała proza Tadeusza Peipera. To wszystko, czego brak dostrzega się na ogół we współczesnych utworach literackich: zerwanie z rutyną pisarską, troska o odnowę formalną — jest elementem stylu Peipera, który cechują celność i świeżość używanych środków.

„Twórczość" nie spełniła dotychczas obietnicy, jaką dała w słowie od redakcji w pierwszym zeszycie i powtórzyła w podtytule. Brak rozpraw krytycznych uniemożliwia poznanie kryteriów, jakimi redakcja kieruje się przy wartościowaniu zjawisk literatury. Brak ten sprawia, iż „Twórczość" będąc donośnym głosem obrony literatury współczesnej, nie spełnia w takim stopniu, jakby powinna, obowiązków jej kształtowania.

Kształtowanie ideologiczne w najszerszym kulturalnie znaczeniu tego pojęcia za swój cel główny uważają „Kuźnica" i „Lewy Tor".

„Kuźnica" po zamknięciu pierwszego „teoretycznego" okresu swego życia numerem 4—5, będącym w ogólnym aspekcie przedstawieniem założeń kulturalnego programu polskiej lewicy, przechodzi do konkretnego ich realizowania. Z czasopisma o nieustalonej częstotliwości ukazywania się, „Kuźnica" stała się tygodnikiem, co umożliwi jej oddziaływanie na kierunkowość rozwoju kulturalnego przez ukazywanie celów bezpośrednich i konsekwencji doraźnych, wynikających ze stanowiska wyraźnej ideologii. W nr 6 „Kuźnicy" zwraca uwagę dążność do uwyraźnienia linii podziału światopoglądowego.

Przyjęcie wspólnej bazy humanizmu (czego świadectwem był zjazd literatów) przez dwa sprzeczne środowiska ideologiczne, jest kompromisem, który nie może mieć innych, poza taktycznymi, następstw. Kompromis bowiem istotny, gdyby miał miejsce, odebrałby wszelki sens doświadczeniom tej wojny. „Humanizm — ale jaki?" pyta Adam Ważyk. Humanizm w nowym kształcie, jedynie możliwym dziś do przyjęcia, nie może — jak chcieliby wyznawcy idealizmu, „obrońcy człowieka" abstrakcyjnego — oprzeć się na złudzeniu, „że wystarczy urabiać duszę ludzką, aby przerobić świat, — ślepota spirytualistów, naprzykrzona wiara w magię słowa, która jest przekleństwem zapóźnionych poetów i niedojrzałych narodów" (A. Ważyk). Jak między tą a pierwszą wojną europejską nie ma analogii, tak nie może być analogicznych konsekwencji ideowych. „Pacyfizm (po pierwszej wojnie europejskiej) uciekał od historii i jej rygorów w sferę wiecznych i niezmiennych instynktów i namiętności, kiedy od praw życia społecznego odwoływał się do biologii i odnajdywał tę samą naturę ludzką po obu stronach walczących, — zwolennicy „obrony człowieka" odwołują się dziś do wiecznych i niezmiennych konieczności metafizycznych, do statutów persony ludzkiej i odnajdują, jak dawniej pacyfiści, tę samą po obu stronach frontu naturę ludzką, z tą różnicą, że nie jak dawniej biologiczną, ale tym razem duchową" (J. Kott). „Trzeba było kilkunastu lat po tamtej wojnie, aby prąd pacyfistyczny, który tyle pięknych intencji pochłonął i zwichnął, zaczął lać wodę na młyn reakcji. Teraz kiedy zmądrzeliśmy o jedną wojnę, nie trzeba nawet kilku miesięcy, aby poznać się na humanizmie, który wymachuje kropidłem wieczności" (A. Ważyk).

Wznowiony **„Lewy Tor"** stawia sobie za cel „budzenie świadomości frontu ludowego" i szerzenie marksistowskiej prawdy o kulturze. Nr. 1 rozwija naczelne zagadnienie kultury: rola oświaty i sztuki w państwie socjalistycznym. J. N. Miller w artykule „O udział sztuki w całokształcie kultury" uzupełnia postulat umasowienia dóbr kulturalnych stwierdzeniem, iż „zagadnienie upowszechnienia kultury polega wcale nie na jej popularyzacji i odgórnym oddziaływaniu na najszersze masy, lecz na wypracowaniu warunków, w których właśnie najszersze masy ludności z odbiorców kultury „odgórnej" stałyby się jej „oddolnymi" wytwórcami". Sformułowaniu temu należy się uzupełnienie, iż wypracowanie tych warunków jest zagadnieniem ważnym jedynie w okresie przechodzenia z kapitalizmu do ustroju socjalistycznego. W tym samym numerze „Lewego Toru" prace zamieszczają m. in.: Wł. Bieńkowski, H. Boguszewska, K. Czachowski, E. Kozikowski, A. Maliszewski, W. Melcer, J. Wiktor.

Trudno natomiast określić cel ideowo-społeczny lub ideowo-artystyczny, ku któremu zmierza poznańskie **„Życie Literackie"**. Nr 7—8 zawiera wypowiedzi, których podstawą jest przeszłowieczny estetyzm i najbardziej czysty, w sensie nieprzezwyciężenia, idealistyczny system myślenia. Do jakich stwierdzeń stanowisko takie doprowadza, wykazuje zwrot w artykule A. Rogalskiego przeciwstawiającego cywilizacje wschodu i zachodu Europy: „...cywilizacja wschodnia pozostawia człowieka wobec demonicznych potęg rzeczywistości całkiem bezbronnego. Bo nawet nie daje mu wiary, która by mu mówiła, że opór ma sens, choćby kończył się przegraną". Wojciech Bąk znów za kryterium w ocenie poezji uważa jakąś niesprawdzalną i niedającą się nawet określić „inność" („Odpada z nas... zastygła zracjonalizowana, konwencjonalna warstwa osobowości i stajemy wobec inności własnej osobowości"). „Kryterium" takie wyczerpuje się na gromkim zapewnieniu (Lechoń ręczył słowem honoru), że coś jest lub nie jest poezją i w praktyce wiedzie do apodyktycznego bełkotu.

Jak swoją „inność" pojmuje Bąk, demonstruje jego wiersz pt. „Z piątej Ewangelii", zamieszczony w tymże „Życiu Literackim". Oto dźwięczny urywek o intencji poetyckiej zapewne poważnej:

Niewczorajszością — śpiew wczorajszy,
Niedzisiejszością — śpiew dzisiejszy,
Niejutrzejszością — śpiew jutrzejszy
Unosi się jak lot muzyczny!
Lot białoskrzydło-gołębiowy!

Lecz niepokój największy wzbudza minimalizm programowy tych, których świętą racją jest poszukiwanie i ryzyko. Być może (i to by do pewnego stopnia tłumaczyło), iż „ideologia" wyrażona w wydanej przez krakowską młodzież literacką jednodniówce **„Inaczej"**, jest osobistą i wyłącznie własną koncepcją jej redaktora, który jako jedyny oryginalny postulat artystyczny wysuwa żądanie drukowania swoich i kolegów utworów przez „Odrodzenie". A może ta widoczność celów, które nie są niemożliwe do osiągnięcia, świadczy właśnie o starczym znużeniu pokolenia — było ono świadkiem działania się tak wielu spraw ostatecznych, że straciło zaufanie do ambitniejszych pragnień własnych w ogóle. Może ta kurierkowa ambicja rozgłosu jest naturalna dla młodzieży, która nie miała otwartych imprez sportowych. Dlatego wydaje się, że krzywdą byłoby dla młodzieży literackiej Krakowa wnioskowanie przedwczesne o jej planach artystycznych. Być może również, że skrzywdzilibyśmy ją stawiając jej jako wzór do naśladowania istotnie ambitną i o niewiele lat starszą młodzież literacką, którą poznaliśmy w pierwszym okresie „Odrodzenia" w Lublinie.

Jak bardzo Lublin, jaki znaliśmy w drugiej połowie 1944 roku, należy do przeszłości, świadczy ukazujący się w tym mieście tygodnik poświęcony „kulturze, życiu i sztuce", p. n. **„Zdrój"**. Pismo puste, jałowe, bez oblicza, nie uwyraźniające w sposób jasny programu zaspokojania tych potrzeb kulturalnych, jakie Lublin, miasto przecież uniwersyteckie, posiada. Trzy numery, jakie się dotychczas ukazały, nie potrafiły pozostawić po sobie śladu jakichś dokonań. Zamiast idei upowszechniania rzetelnych wartości kulturalnych, jaką pismo miało, prawdopodobnie, zamiar realizować, uwyraźnia się bezprogramowa, a przytem celebrująca samą siebie, gadatliwość. Nie potwierdzone zostały te słabe nadzieje, jakie nr 1 wywołał. Kolumna poezji Józefa Czechowicza i wypowiedź Jana Parandowskiego ukazały się w „Zdroju", sądzimy, tylko dlatego, że nie mogły się nie ukazać w piśmie, wychodzącym w rodzinnym mieście zmarłego poety oraz w mieście, w którym aktualnie mieszka autor „Nieba w płomieniach". A przecież „Zdrój" ma warunki, by stać się ważnym czynnikiem kulturotwórczym, jako głos żywego zawsze ośrodka życia umysłowego. Spodziewamy się, że płodna ziemia lubelska wyrazi się jednak w sposób godny swoich tradycji. Oczekujemy wznowienia „Kameny", której zasłużony redaktor, poeta K. A. Jaworski ma większe niż ktokolwiek dane, by słuszne ambicje Lubelszczyzny spełniać.

zb

PO PROSTU

Smok i śpiące królewny

Na parę miesięcy przed powstaniem zacząłem pisać współczesną komedię. Bohaterem jej był Anglik, sir Hamm and Eggs, jedyny spadkobierca wielkiej fabryki konserw. Na konserwy była wielka koniunktura, młody człowiek nie wiedział co robić z pieniędzmi. Doświadczenia wojenne zniechęciły go do tradycyjnych form lokaty kapitału. Statki, które posiadał, wpadały na miny, w domy, które kupował, uderzały bomby, a w złoto nie wierzył. Sir Hamm and Eggs postanowił spróbować czegoś niezwykłego, nabyć jako lokatę kapitału którąś z literatur środkowo-europejskich. Po namyśle wybór jego padł na literaturę polską, ani mała, ani duża — myślał, taka sobie, jak mawiał ksiądz Pirożyński. w sam raz. Poza tym ciągle tam posyłają skoczków i łatwo jest wysłać pieniądze. Sir Hamm and Eggs na literaturze się nie znał, ale był zwolennikiem metod amerykańskich w interesach.

Aby uniknąć jakiejś niespodziewanej konkurencji postanowił zakupić wszystkie rękopisy hurtem; bez wyjątków: powieści i dramaty, wiersze i nowele. Sir Hamm and Eggs, mimo pozorów szaleństwa, był człowiekiem rozsądnym i uznał, że 2000 dolarów złotych powinno wystarczyć na kupno całej współczesnej literatury polskiej.

I rzeczywiście w roku 1943 za 2000 złotych dolarów wykupić można było w Generalnej Gubernii wszystkie rękopisy literackie, niemal że razem z ich autorami. Starzy wydawcy długo nie śpieszyli się z kupowaniem nowych książek. Przez pierwsze lata wojny rzadko komu z pisarzy udało się sprzedać rękopis. Starzy wydawcy, w przeciwieństwie do Sir Hamm and Eggsa, woleli lokować pieniądze w złocie i dolarach. Dopiero w roku 1943 sytuacja się nagle zmieniła. Zaczęto masowo kupować rękopisy. Kupowali starzy wydawcy, kupowali nowi wydawcy, kupowali przede wszystkim spryciarze. Okazja była rzeczywiście wyjątkowa. Większość pisarzy znajdowała się w nędzy i oddawała rękopisy za bezcen. Pewien znany i poważny krytyk sprzedał tom szkiców za 1800 zł, płatnych ratami po 200 zł. Żona jednego z naszych najlepszych powieściopisarzy, sprzedała drugie wydanie książki męża, który siedział w Offlagu, za równowartość paru kilogramów masła. Potem cena za powieść podskoczyła do... 5000 zł. Sir Hamm and Eggs nigdy nie istniał, zastąpili go z powodzeniem krajowi spekulanci. Większość rękopisów literackich została rozkupiona.

Rękopisy te są do dziś dnia uwięzione. Obok trudności organizacyjnych i braku papieru stanowi to obecnie największą przeszkodę utrudniającą wydawanie nowych polskich książek. Autorzy są bezsilni wobec właścicieli swoich utworów. Chroni ich bowiem prawo autorskie. Dlaczego w takim razie — spytacie — nabywcy rękopisów nie wydają zakupionych przez siebie książek? Odpowiedź jest prosta. Rękopisy kupowali albo małe Hammki and Eggsy albo starzy wydawcy. Spekulanci książek nie wydają, bo nie mieli nigdy zamiaru ich wydać, chcieli po prostu odsprzedać nabyte prawa z solidnym zyskiem. A teraz jest to niemożliwe. A starzy księgarze? Starym księgarzom obecnie wydawanie książek się nie kalkuluje. Wolą czekać. Jak smok śpiącej królewny pilnują zakupionych rękopisów. Nie chcą jednak czekać ani autor, ani czytelnik. I czekać nie będą!

Ministerstwo Kultury i Sztuki w porozumieniu ze Związkiem Literatów opracowuje obecnie dekret, mocą którego tworzy się rejestr umów o nabycie praw autorskich, zawartych po 1-szym września 1939 r. Wszyscy, którzy nabyli prawa autorskie, obowiązani będą zgłosić do rejestru zawarte umowy. Kto tego obowiązku nie spełni, straci nabyte prawa. Na tym nie koniec dekretu, teraz przychodzi jego część najważniejsza. Każdy, kto w ciągu roku od daty wejścia w życie dekretu, nie zrealizuje nabytych praw, to znaczy nie wyda zakupionej książki, straci do niej wszelkie prawa. Autor od tej chwili będzie mógł swobodnie rozporządzać rękopisem, pod warunkiem, oczywiście, zwrotu wypłaconych sum.

Oto jeszcze jedna z legalnych rewolucji w dziedzinie prawa własności. Śpiąca królewna musi zostać wyzwolona i zostanie wyzwolona.

Dekret ten nie rozwiąże jednak zagadnienia przyszłości książki polskiej. W rękach prywatnych właścicieli uwięzione są nie tylko współczesne rękopisy. Uwięziony jest również Prus i Orzeszkowa, Żeromski i Orkan, Sienkiewicz i Dygasiński. Pamiętamy proces, jaki na parę lat przed wojną Miriam wytoczył Piniemu o samowolne wydanie Norwida. Norwid był własnością Miriama. Miriam kupił po prostu za paręset franków wszystkie prawa do Norwida.

Przeciętny czytelnik nie orientuje się na ogół w prawie autorskim. Warto je więc w paru słowach przypomnieć. Twórca ma prawo do dzieła. Prawo to może sprzedać. Ten, który je kupił, może je odsprzedać dalej, jak się sprzedaje fortepian, szafę czy słoninę. Kiedy właściciel praw autorskich umiera, dziedziczą je po nim razem z meblami i pościelą spadkobiercy. Prawa do dzieł jednego z najświetniejszych powieściopisarzy naszych z końca wieku posiada pewien pan, który odziedziczył je po żonie, która z kolei otrzymała je w spadku po siostrzenicy pisarza. Prawa autorskie nie trwają jednak wiecznie. Po pięćdziesięciu latach od śmierci twórcy, prawa autorskie gasną i dzieło jego staje się wspólną własnością wszystkich ludzi. Na całym świecie można bez żadnych ograniczeń wydawać Mickiewicza, grać Beethovena, reprodukować Rembrandta.

Prawa do dzieł naszych najznakomitszych powieściopisarzy dotąd nie wygasły. Kilkanaście prywatnych osób rozporządza dzisiaj twórczością Żeromskiego, Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza i Dygasińskiego. Mija obecnie 50 lat od powstania „Faraona". Gebethner nie przygotowuje jednak nowego wydania powieści Prusa. Nie przygotowuje, ponieważ mu się to nie opłaca. Nie opłaca mu się wydać „Placówki" za 120 zł, w cenie, w jakiej „Czytelnik" wydał „Krzyżaków". Smok strzeże zazdrośnie królewny literatury.

Żeromski, Orzeszkowa, Wyspiański, Sienkiewicz, Orkan, Dygasiński, Prus — są wspólną własnością narodu. Każdy powinien mieć prawo wydawania ich dzieł. Wtedy tylko wydania te będą się mnożyć. Wtedy tylko będą tanie. Zwracam się do pisarzy-posłów do Krajowej Rady Narodowej: Heleny Boguszewskiej, Jerzego Borejszy, Zofii Nałkowskiej, Jerzego Kornackiego, Leona Kruczkowskiego, Adama Polewki, Juliana Przybosia i Jana Wiktora, aby domagali się wydania dekretu, który by zniósł prawo własności do dzieł największych klasyków naszej literatury. Trzeba zabić smoka i uwolnić śpiące królewny w szufladach wydawców.

Jan Kott

Kronika ilustrowana
STRATY KULTURY POLSKIEJ

EMIL BREITER
krytyk literacki

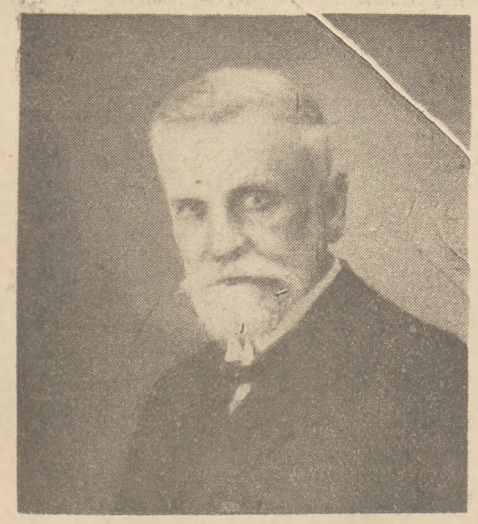

ODO BUJWID
bakteriolog

STEFAN HNYDZIŃSKI
artysta dramatyczny

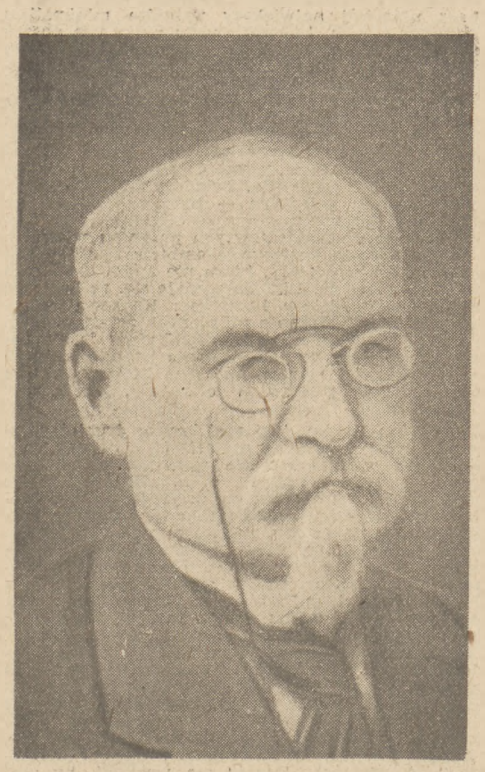

LUDWIK KRZYWICKI
znakomity uczony

Polska za granicą

„Krzyżacy" po angielsku. W Londynie ukazał się przekład „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza z przedmową szarej eminencji angielskiego Foreign Office lorda Vansittarta, który zaznaczył, że oprócz wartości literackiej książka polskiego laureata nagrody Nobla ma również wartość przestrogi politycznej. Ciekawe są również uwagi niektórych wpływowych periodyków brytyjskich. I tak np. „New Statesman and Nation" odzywa się niezmiernie lekceważąco o tej książce, ale i z pewną znamienną obawą o jej popularność. Uważa „Krzyżaków" za „książkę dla dzieci", ale równocześnie przestrzega, by dzieciom tej książki do ręki nie dawać... Duch zmarłego Lloyd George'a znów straszy w Anglii. Dodatek literacki „Timesa" — „Times Literary Supplement" — poświęcił za to „Krzyżakom" całą stronę, i to główną, bo tzw. „Menanders Mirror", od której czytelnik angielski rozpoczyna zwykle lekturę. Sprawozdanie nosi charakter literacki i rzetelnie ocenia wartość książki Sienkiewicza. Autor przyznaje mu miarę Walter Scotta. Jest to wiele, jeżeli chodzi o ocenę angielską, choć Scott należy już raczej do wielkości muzealnych.

Szwedzka gazeta „Expressen", ukazująca się w Sztokholmie, zamieściła ilustrowany oryginalnymi zdjęciami reportaż Mariana Podkowińskiego z Łambinowic, gdzie odkryto masowe groby bestialsko pomordowanych jeńców wojennych. W komentarzu redakcyjnym „Expressen" zaznacza, że zbrodnia ta, która równa się zbrodniom hitlerowców w Oświęcimiu, Treblince i Buchenwaldzie, wywołała w krajach skandynawskich wielkie oburzenie. Szwedzi nareszcie zrozumieli, do czego zdolne były upadające Niemcy i nikt chyba nie będzie ronił łez nad dolą Niemców pod okupacją aliancką.

Reportaż Janiny Broniewskiej ukazał się w szwajcarskiej gazecie „Vorwärts" pt. „Lublin w przemarszu". Poza tym znajdujemy tu szereg innych artykułów i notatek o Polsce współczesnej.

„Kultura Polski" prof. Kazimierza Hartleba ukazała się w nowojorskim wydawnictwie „Roy Publishers" w ozdobnym wydaniu. Dzieło to wydatnie sfinansowała Polonia amerykańska.

Niefortunna książka o Wellsie ukazała się w Londynie pt. „G. Wells o świecie i o Polsce", pióra Adama Pragiera, z przedmową znanego socjalisty belgijskiego Kamila Huysmansa. Niefortunna dlatego, że ukazała się po polsku, choć wydanie angielskie miałoby jedynie swój sens polityczny, gdyż Anglikom a nie Polakom wytłumaczyć należałoby bezpodstawność sądów Wellsa o Polakach. A sądził źle. Ten polityczny „prorok" napisał już w 1917 „I dislike and distrust the Poles" („Nienawidzę i nie lubię Polaków") i to dla czterech powodów: ponieważ nienawidzi narodów katolickich, ponieważ nie znosi żadnego innego nacjonalizmu poza angielskim, ponieważ tradycyjnie lubi Niemców jako wiktorianin i ponieważ się niczego nie nauczył w ostatnim ćwierćwieczu. Polemika z Wellsem i to jeszcze po polsku była więc zupełnie zbyteczna.

Wystawa obrazów Gotliba w Londynie. 12 września br. odbyło się w Londynie w galerii „Roland, Browse and Delbanco" otwarcie zbiorowej wystawy prac znanego malarza Henryka Gotliba, który okres wojny spędził w Anglii. Wystawa obejmuje trzydzieści kilka obrazów, głównie olejnych, o tematach kompozycyjnych. Gotlib, należący do grupy plastyków „London Group" jako jeden na ogólną liczbę dwóch jej członków zagranicznych, wystawiał już kilkakrotnie swe prace w Londynie, obecna jednak wystawa jest pierwszym, zbiorowym pokazem prac artysty. Gotlib prowadzi w Londynie własną szkołę malarską i rysunkową.

Antoni Plutyński, ekonomista i polityk, uczeń Szymona Aszkenazego, wydał w Londynie książkę „Nas jest 115 milionów", która zajmuje się sprawą bloku zachodnich Słowian jako przedmurza przeciwko niemieckim agresorom.

mp

Nie jesteśmy workami siana

Dzikus z puszczy afrykańskiej, o ile w kręgu jego bezpośrednich doświadczeń nie znalazł się bodaj czarodziej palący zioła, na widok białego człowieka palącego fajkę przeżywać musi osobliwe wrażenia. Ze wszech miar rzeczą niepokojącą, dziwną musi się mu wydawać owo niepozorne naczyńko połączone z białym ciałem rurką a napełnione substancją tak łudząco podobną do siana.

Nie znając istotnej treści tułowia, stąd dopuszczając w białej skórze istnienie wszelakiego rodzaju substancji, przede wszystkim siana, palenie tytoniu może uważać za identyczne ze spalaniem się np. skóry wypełnionej wspomnianą paszą.

Tymczasem człowiek, z wyjątkiem pewnej kategorii ludzi, określanych jako wypchanych, wcale nie jest napełniony tą substancją i ludzie traktujący swych bliźnich jako czcze worki, nie różnią się od dzikusów.

Są ludzie tak organicznie niedysponowani do uśmiechu, że łatwo można by ich uważać za wypchanych. Ludzie ci posiadają jakieś szczególnego rodzaju wady ustrojowe, jakieś braki w budowie gruczołu nadnercza, czy jakieś nienazwane dotąd hamulce konstytucjonalne. Hamulce te działają w chwilach najbardziej zdatnych do lżejszego traktowania według wszelkich zasad hamulców próżniowych.

Ludzie ci przechodzą przez życie z ustami odemkniętymi na wszystkie spusty, z wyjątkiem spustu śmiechu, i zamykają swe usta jedynie wtedy, kiedy pozostali przy życiu wędrowcy za najstosowniejsze uważają wepchnąć nudnego pasażera pod wieko i obsypać go na pożegnanie grudkami gliny.

Tymczasem ludzie nie są nudni. I nie wszyscy ludzie są hamulcami Westinghouse'a.

Kiedy w roku 1939, w huku armat, w piaszczystej kurzawie kotłującej się gościńcami, dostrzegłem pewnego staruszka, okrytego pierzyną dla ochrony przed pociskami i prowadzącego kozę na sznurku, i kiedy w kilka miesięcy później dostrzegłem na szelkach jednego z oprawców serce przeszyte strzałą a obok na tyrolskiej koszuli, równie pięknie wyhaftowane dwa całujące się gołąbki, byłem oburzony na towarzysza mej wędrówki i poniżenia. Po pierwsze za nietakt, okazany grozie sytuacji, po drugie za lekkomyślną swawolę okazaną chwili spodziewanego zgonu. Niestety przyjaciel nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Pierzyna, rzucona w odmęt wojny, ów staruszek optymista, traktujący odłamki pocisków jak okruchy talerzy, koza, zapewne jedyna żywicielka i legitymacja dla zatrwożonego, ci sentymentalni palacze krematoriów, traktujący miłość jako wyłączność swej fikcji rasowej, to wszystko wydało się owemu wesołkowi zbyt bliskie śmiechu, mimo grozy położenia.

Kiedy pewnego dnia stałem na szosie prowadzącej ze Śląska na Sandomierz i przypatrując się przeciągającym zwycięskim wojskom zwróciłem uwagę przyjacielowi na dwu kucharzy wylewających zupę z kotła do balii, przyjaciel mój spojrzał na mnie takim okiem, jakim spozierał Samuel Pickwick, kiedy Dickens obawiał się, że spojrzenie zdolne jest przepalić szkła okularów.

Przyjaciel mój obawiał się, że pomniejszam dziejowy patos chwil. Że nie widzę wracających do ojczyzny bohaterów, nie dostrzegam gruzów państwa hitlerowskiego, że widok groteskowej sceny, gołej nogi wyzierającej z wnętrza wojennego wozu, mąci wzniosły mój stan. Że „niepoważne" elementy przeszkadzają mym poważnym wzruszeniom.

Niestety nie przeszkadzało mi to bynajmniej.

Widziałem weteranów tańczących na platformie w sposób zgoła „nie bohaterski" w samej bieliźnie, widziałem tęgie weteranki hasające na samochodzie ciężarowym do wtóru upojnych walców, widziałem radość, jakże daleką od naszej powściągliwej, burżuazyjnej radości i wcale nie wydawało mi się wówczas, aby legioniści rzymscy wracający ze zwycięskiej wyprawy na Germanów maszerowali w zaprasowanych świątecznie togach i z papyrusami w ręce. Na pewno pozrzucali zbroje, bo doskwierał upał, na pewno pili wodę z wanien, w których kąpali poprzednio swe markietanki, bo dokuczało pragnienie i na pewno wyrażali swą radość inaczej, niż my niezburzeni, krakowscy cywile.

Wydaje się nam, ludziom prostaczkom, że wielkość składa się ze schematycznych akcesoriów, jakie wytworzyli historycy skłonni do mitologicznych uproszczeń, że kamienie, które wielbimy, nigdy nie były ludźmi. Ludźmi z takimi samymi troskami, marzeniami, uciechami i przywarami, jakie my mamy.

Kilka dni temu powrócił z Wiednia pewien młody uczony. Poszukiwał zaginionego krewniaka. Chłopca.

Tłumaczył przez kilka minut amerykańskiemu sierżantowi, co, jak, gdzie. W końcu zwrócił się do niego z prośbą o pomoc.

Ziomek Washingtona przez chwilę miał taki wyraz twarzy, jakoby słuchał wszystkiego ze skupieniem. Nawet nieco wzruszył się. Wreszcie wyjął z ust gumę, pochwycił młodego uczonego za kark, powiedział: O key i kopnięciem w grzbiet wyraził, co myśli o europejskich smutkach.

Ot, zwyczajny człowiek. Bohater na codzień. Cyd Campeador w życiu prywatnym.

Może był pijany, może go ta sprawa nie obchodziła, może już miał tych spraw dosyć. Powiedział sobie, że on też musi mieć swój urlop.

A może po prostu szedł na spotkanie z jaką Liselottą, która naopowiadała mu mnóstwo bredni na temat znęcania się Polaków nad Niemcami, i stąd ten gniew?

Może mu opowiadała, jak w Łodzi w roku 1939 przekłuwaliśmy Niemcom oczy, jak ja ucinałem Niemkom warkocze, jako notoryczny fetyszysta, jak wieszałem sobie te trofea dookoła pasa i potem, gdy mnie chcieli wsadzić do pieca krematorium, jak chciałem zelżyć, ba znieważyć czynnie germańskiego SS-manna. A może powiedziała jeszcze, że to ja właśnie obciąłem jej warkocz?

Ulegamy uproszczeniom, szablonom, skrótom, mitom, które tworzymy na wysokość własnych, nędznych obcasów. W tej postawie stajemy się okrutni, ba, nieraz lekkomyślni. Najwyraźniej skłonni do przesady.

Uciekamy od prawdy, zamykamy oczy i uszy w imię ideału tak skompromitowanego przecież w dziejach a tak nęcącego nas. Wydaje się nam, że prawda wyraża się tylko w patetycznych gestach. Jakby zazdrośni o całość ideału, unikamy tej wielości szczegółów, jaka przydaje rumieniec posągom, przybliża wielkość na odległość dłoni.

Nie bądźmy jednak workami siana. Nie jesteśmy wypełnieni tą substancją. Jesteśmy wypełnieni żywą krwią i czemuż nie mamy odwagi przyznać się do tego?

P. S.

W jednym z ostatnich moich felietonów popełniłem fatalną pomyłkę insynuując zakładowi instalacyjnemu S. Swoboda braki w ortografii. Przytoczony przeze mnie fragment był napisany przez **montera** tej firmy. Stwierdzić muszę, że firma Swoboda rachunki dla Związku pisze najczystszą polszczyzną.

Zygmunt Fijas

Zagadnienie odbudowy we Francji

Wojenne zniszczenia w Europie są tak wielkie że nie ma państwa, poza tymi nielicznymi, które nie brały udziału w wojnie, gdzie by zagadnienie odbudowy nie było troską naczelną. Wagi tego zagadnienia nie trzeba ukazywać u nas, gdzie sprawa Warszawy nie przestaje niepokoić umysłów i serc. Nie w celu przypominania więc ani ukazania wymiaru troski, lecz dla skonfrontowania naszych zamierzeń z planami innych narodów, przedstawiamy wyniki dyskusji, jaka toczy się wokół odbudowy na łamach artystycznych czasopism francuskich.

„Nouvelles Littéraires" pragnąc uwyraźnić estetyczną stronę tego zagadnienia, co we Francji ze względu na powszechnie zabytkowy charakter miast, miasteczek, a nawet osiedli ma szczególne znaczenie, zwróciły się do czołowych urbanistów i architektów z propozycją wypowiedzenia przez nich ich sądów o sprawie. Ankieta „Jakie oblicze będzie miała Francja przyszłości" — trwa. Dotychczas wypowiedzieli się już przedstawiciele wielu różnych, często przeciwstawnych poglądów artystycznych. Z głosów tych najciekawsze ze względu na ich skrajność są wypowiedzi Le Corbusiera, autora urbanistycznej koncepcji „maszyny do mieszkania", Alberta Laprade'a, kontynuatora Prosta, który przed wojną 1914—1918 pracował już nad realizacją „Wielkiego Paryża", oraz Augusta Perreta, twórcy teatru Champs-Elysées i Muzeum Robót Publicznych.

Wszyscy, nawet jaskrawi przeciwnicy formalni zgodni są co do jednego: odbudowa architektoniczna Francji nie może ograniczać się do rekonstrukcji. Jest to znamienne, jeśli uprzytomnimy sobie, jak wielki jest kult przeciętnego Francuza dla przeszłości, której wszelkie ślady, a już szczególnie artystyczne są z pieczołowitością utrzymywane i konserwowane. Jaki wstrząs musiała wywołać wojna w charakterze francuskim, jeśli twierdzi się, że „nie ma sensu przywracać dawnego wyglądu nieistniejącym miastom, czy dzielnicom miasta z samego pietyzmu dla przeszłości".

Jeśli stanowisko Le Corbusiera wypływa przede wszystkim z jego ideologii światła i przestrzeni, ideologii sprzecznej z założeniem skupienia, wyznaczającym urbanistykę średniowiecza, to Perret wskazuje nieopłacalność jako powód główny. Ale to na jedno w konsekwencjach wychodzi. Zniszczenia wojenne, zdaniem Le Corbusiera i Laprade'a, winny być wykorzystane jako okazja do odnowienia architektury Francji i wyciśnięcia na niej stempla XX wieku. Le Corbusier uważając chwilę za wyjątkowo odpowiednią, formułuje raz jeszcze swój radykalizm artystyczny, którego realizacja urbanistyczna — jak twierdzi — może spowodować pełne przyjęcie się **nowego humanizmu** we Francji. Zmienić warunki bytowania człowieka, wyprowadzić go z zadymionych i mrocznych mieszkań, z otoczenia fabrycznego, rozbić w ogóle centra mieszkalne, jakimi są miasta, i rozprzestrzenić je wzdłuż naturalnych szlaków komunikacyjnych. Decentralizacja architektoniczna przez zlikwidowanie skupisk-gigantów usunie dysproporcje kulturalne między miastem i wsią, zbliży prowincje, narody, przyczyni się do powstania podobieństwa warunków bytowania całej Europy.

Laprade nie oddalając się od przestrzeni, którą architektura kształtuje, w kierunku dalekich koncepcji filozoficznych, ukazuje konkretne przykłady zrealizowania postulatów zdrowia, wygody i estetyki. Przykładami tymi są nowoczesne Marokko i Casablanca, gdzie odizolowano dzielnicę przemysłowo-rzemieślniczą, wydzielono handlową, a przede wszystkim parkami i zielenią otoczono dzielnicę mieszkalną. Szerokie ulice wysadzane drzewami, perspektywy pozamykane gmachami reprezentacyjnymi — dają udogodnienia praktyczne i stwarzają zadowolenie estetyczne. Laprade proponuje wprowadzenie nowoczesnego stylu „marokańskiego" do Francji, oczywiście z odrzuceniem stosowanych tam dla związania z krajobrazem elementów lokalnych (ornamentacja fasad).

Obok tego szerokiego oddechu koncepcji urbanistycznych trwają ciężkie i trudne do usunięcia troski. Jak zapewnić natychmiast, najprędzej jak można dach nad głową tysiącom rodzin? Jak postępować w miastach zburzonych częściowo? Czy dopuścić do regulowania tych spraw przez życie samo i stracić tym samym okazję do odciśnięcia stempla epoki? Propozycje są różne. Jakiekolwiek by one nie były, ministerstwo odbudowy (istnieje we Francji) usiłuje uwzględnić wszystkie: te przyszłościowe wydające się dziś nierealne i te minimalistyczne, liczące się z rzeczywistością. Ogrom zniszczeń i konieczność natychmiastowej aktywności każe brać pod uwagę półśrodki, jak np. system seryjny budownictwa. Trwa projektowanie wzorów ogólnych (przyjęto m. in. do zrealizowania projekt Le Corbusiera). Organizowana jest w Pałacu Inwalidów międzynarodowa wystawa (Anglia, Ameryka, Francja i ZSRR) budynków składanych. Chociaż system budownictwa seryjnego ma tę wyższość nad innymi, że gwarantuje szybkość realizacji, to jednak cechuje go nietrwałość. Dlatego też nie jest popularny we Francji, która trudności chce rozwiązać, a nie prolongować na lat dwadzieścia.

Nie dało się uniknąć, by życie samo, a więc i bezplanowość nie została dopuszczona do współakcji. Niewielka ilość architektów (3.000 wobec zapotrzebowania na 20.000) uniemożliwia szczegółowość planowania i wglądu. W każdym bądź razie troska o zachowanie zabytków tam, gdzie to jest możliwe oraz o harmonizowanie nowych budynków z otoczeniem w miastach częściowo zniszczonych, jest troską upaństwowioną.

Jeśli warunki i potrzeby materialne zmuszają Francję do minimalizmu estetycznego, to minimalizm ten nie jest programowy. Założenia odbudowy są bardzo ambitne: utrzymanie i konserwacja architektury zabytkowej oraz **dążność do stworzenia nowego stylu urbanistycznego.** Ta druga, najbardziej interesująca nas w realizacjach część programu uwidocznia się już nie tylko w wypowiedziach tu omówionych. Bo właśnie zadania urbanistycznej odbudowy powierzono do zrealizowania m. in. Le Corbusierowi (rejon La Palice) i Laprade'owi (Valenciennes i Le Mans), a więc głosicielom najbardziej skrajnych artystycznie poglądów.

zb

KORESPONDENCJA

ZAWSZE TE OLCHY

Do redaktora „Odrodzenia"

W sprawozdaniu z ruchu muzycznego w Krakowie, umieszczonym w nr 40 „Odrodzenia", podany jest dwukrotnie tytuł ballady Goethego z muzyką Schuberta „Erlkönig" jako: **„Król olch"**. Z tym nonsensem, który pokutuje również w literaturze francuskiej, walczę od lat — bezskutecznie; we wszystkich swoich popularnych podręcznikach i stale na wszystkich swoich wykładach publicznych, wskazuję, że poprawny tytuł ma być: **„Król duchów"**. Tylko wtedy bowiem treść ballady będzie zrozumiała i uzasadniona. Wyraz „Erlkönig" wywodzi się ze staroniemieckiego wyrazu „Earl", co znaczy **duch,** a więc „Earl-König" czyli „Król duchów", a nie „Erlen-König" czyli „Król olch"; „die Erle" znaczy bowiem „olcha", co oczywista nie ma żadnego związku z treścią ballady.

Józef Reiss (Kraków)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z artykułem Ryszarda Matuszewskiego „O właściwy kierunek rozwoju kultury wsi" w nr 40 „Odrodzenia", pragnę sprostować następujące nieścisłości:

1. Nazywam się Mieczysław Grad, a nie R. Grad, jak to podał Matuszewski.

2. Tytuł wygłoszonego przeze mnie na Zjeździe Pisarzy Chłopskich referatu brzmi: „Zagadnienie literatury ludowej", a nie „Cechy twórczości pisarzy chłopskich", jak to w swym sprawozdaniu podał Matuszewski. Różnica między obu powyższymi tytułami jest istotna, nie tylko werbalna. Kto bowiem chce mówić o cechach twórczości „pisarzy chłopskich", ten zdaje się być pewnym treści i zakresu tego pojęcia. Natomiast mój referat urodził się właśnie z wątpliwości w tej sprawie.

Mieczysław Grad (Warszawa)

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62.
M—03945 Prenumerata miesięczna 21 zł, kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"